

Zgłaszając ustawę lustracyjną ujawniającą byłych agentów, chodziło nam, żeby przeciąć możliwość szantażu osób piastujących wysokie stanowiska państwowe. Natomiast z aktywnymi agentami MSW powinno rozwiązać umowę. Nie może być bowiem tak, żeby poseł, przemawiając w Sejmie, był głosem ministra spraw wewnętrznych, a nie reprezentantem swoich wyborców.

Stanisław Michalkiewicz

I MIĘDZYNARODOWE SYMPOZJUM FALZMANNOWSKIE



s. 7-15

SOLIDARNOSC WALCZĄCA

KWARTALNIK POLITYCZNY „SOLIDARNOŚĆ WALCZĄCA”
NR 1 (313) XV, WIOSNA 1996, ISSN 0867-6731, cena 1,50 zł

SOWIECKIE SŁUŻBY SPECJALNE A PRL

W ostatnich dniach ubiegłego roku Minister Spraw Wewnętrznych J. Milczanowski oskarżył premiera J. Oleksego o współpracę z KGB. Premier, po tym jak Prokuratura Wojskowa wszczęła śledztwo, podał się do dymisji. Nie wiadomo, jaka będzie ostateczna decyzja prokuratury i czy sprawa znajdzie swój epilog w sądzie. Sprawa ta wydaje się jednak doskonałym pretekstem do podjęcia kwestii zakresu i głębi infiltracji struktur PRL-u przez radzieckie służby specjalne – GRU i KGB.

PRL przez cały okres swego istnienia była państwem niesuwerennym, podległym Związkowi Sowieckiemu. Jednakże stopień wasalizacji Polski przez Związek Sowiecki zmieniał się i ewoluował. Zmieniały się też kanały podległości Polski przez Związek Sowiecki. W znacznym uproszczeniu można wymienić następujące struktury uzależnienia:

- dyplomatyczna,
- partyjna,
- resortowa,
- agenturalna.

Na poziomie stosunków międzynarodowych zależność Polski wynikała z przyjęcia przez nasz kraj obowiązków członka Układu Warszawskiego i Rady Wzajemnej Pomocy Gospodarczej. W zasadzie jednak sfera stosunków międzypaństwowych służyła utrzymywaniu pozorów niezależności Polski i maskowaniu zakresu podległości Związkowi Sowieckiemu.

Nieco inaczej było w dziedzinie relacji międzypartyjnych. Tutaj bowiem hegemonia sowieckiej partii komunistycznej była bardziej wyrazista, gdyż wynikała z przyjętej ideologii, która dawała wyraźne pierwszeństwo pierwszemu państwu robotników i chłopów w całym obozie socjalistycznym. W zasadzie poza kontrolą PRL-owskich czynników partyjno-państwowych przebiegała „współpraca” na poziomie ministerialnym – MON-u i MSW. W ministerstwach tych głos sowiecki decydował o karierze i awansie jednych oraz

o niełasce i dymisjach drugih. Czwartym, najbardziej nieformalnym kanałem uzależnienia struktur PRL-owskich struktur władzy był tzw. kanał agenturalny. Dzięki informatorom w aparacie partyjno-państwowym Sowietom mogli przekonać się o stopniu lojalności poszczególnych członków hierarchii partyjnej.

Przez cały okres PRL-u następowała ewolucja statusu podległości PRL w obozie komunistycznym. Z tego też względu w rozmaitych okresach historycznych wyróżnione kanały podległości zmieniały swoją rolę w ogólnej strukturze zniewolenia. W latach 1944-56 w najważniejszych resortach: MSW i MON byli po prostu zatrudnieni Rosjanie, którzy sprawowali bezpośredni nadzór nad działalnością tych siłowych resortów. Dowódcą LWP był K. Rokossowski, obywatel sowiecki. Ponadto wielu sowieckich oficerów służyło w wojsku polskim. Przykładowo w latach 1949-52 do LWP przybyło około 36 generałów i 230 oficerów oficerów. W latach 1949-1954 oficerowie sowieccy w polskim korpusie oficerskim stanowili od 6% do 1% składu osobowego. Jednakże wśród kadry generalskiej generałowie sowieccy stanowili w latach 50. zawsze ponad połowę kadry generalskiej. Jak pisze historyk Edward Nalepa:

„Stworzenie mechanizmu totalnego podporządkowania sił zbrojnych i systemu obronnego państwa polskiego Moskwie nie byłoby możliwe, gdyby na czele wojska nie stanął radzieckich marszałek i gdyby nie wspomagała go liczna grupa generałów i oficerów radzieckich. To właśnie oni aktywnie uczestniczyli w procesie stalinizacji i rusyfikacji polskiego wojska. W szczególności jaskrawej postaci wyraziło się to w Informacji Wojskowej (GZI i okręgowych zarządach), zdominowanej kadrowo na kluczowych stanowiskach przez oficerów Armii Radzieckiej. Ukształtowanie przez organa NKWD lub „Smierszy”, spełniali

cd. na s. 2

PODZIĘKOWANIE

Pragniemy wyrazić nasze szczere uznanie i podziękowanie redaktorowi Zbigniewowi Rutkowskiemu za jego trud, ofiarność i bezinteresowność włożoną w redagowanie pisma „Solidarność Walcząca”. Zbigniew Rutkowski pełnił funkcję redaktora „SW” w latach 1990-94. W tym trudnym okresie wychodzenia z podziemia udało mu się znaleźć formułę pisma, która z jednej strony zachowywała wszystkie zalety wydawanej jeszcze w podziemiu „Solidarności Walczącej”, a z drugiej strony umożliwiła sprostanie wyzwaniom nowych warunków. Mając nadzieję, że na tym nie zakończy się nasza współpraca, życzymy Tobie, Zbysku, sukcesów w założonym przez Ciebie wydawnictwie „Wers” i w edycji pisma „Wolna Polska”.

Kornel Morawiecki,
Przewodniczący Partii Wolności
„Solidarność Walcząca”

Maciej Frankiewicz, wydawca
„Solidarności Walczącej”

Krzysztof Brzechczyn, redaktor
naczelny „Solidarności Walczącej”

SZANOWNI CZYTELNICY

Po dwóch latach przerwy spowodowanej trudnościami finansowymi i organizacyjnymi postanowiliśmy wznowić wydawanie pisma „Solidarność Walcząca”. Jak Państwo zauważyli, pismo nasze wychodzi w niezmienionej szacie graficznej i objętości. Ufamy również, że „SW”, służąc niezależnej refleksji nad życiem społeczno-politycznym Polski i jej historii najnowszej, nadal będzie wierne takim wartościom, jak prawda, patriotyzm, solidaryzm, wolność, oryginalność i bezkompromisowość w myśleniu oraz antykomunizm.

Krzysztof Brzechczyn
redaktor naczelny „SW”

spis treści:

AKTUALNOŚCI

Podziękowanie	1
Szanowni Czytelnicy	1
W numerze	2
K. Brzechczyn – Sowieckie	
Służby Specjalne a PRL	1-3
W jednym zdaniu	3
A. Macierewicz w Poznaniu	4
W czym Kwaśniewski gorszy	
od Jaruzelskiego – wywiad	
z A. Gwiazdą	4-5
Afery rodzą się na styku sektora	
publicznego i gospodarki	
prywatnej – wywiad	
z S. Michalkiewiczem	6

SYMPOZJUM
FALZMANNOWSKIE

K. Brzechczyn – Interpretacje	
transformacji komunizmu	7
I. Brodacka-Falzmanna,	
M. Dakowski, J. Przystawa –	
Informacja na konferencji	
prasowej	7-8
J. Przystawa – Kopyta, rogi	
i ogon FOZZ	8-11
Jaka Europa? – wywiad	
z prof. H. Wagnerem	12-13
P. de Villemarest – Rosja.	
Tajne pieniądze niewidzialnej	
gospodarki	13-15
Dekomunizacja po czesku –	
wywiad z P. Sustrówą	15

POLSKA – ALE JAKA?

M. Zabierowski – Solidaryzm	
społeczny w okresie przełomu	16-19
K. Brzechczyn – Jak gruba powinna	
być gruba kreska?	19-20

HISTORIA NAJNOWSZA

M. Kozłowski – Broniewski	
w sowieckim Lwowie	21-22

RECENZJE

Z. Bereszyński – Próba przewrotu	
komunistycznego w Brazylii	23
M. Kozłowski –	
Gen. M.M. Smorawiński	24

W numerze

Po dwóch latach przerwy przedstawiamy Państwu kolejny numer „SW”. W dziale Aktualności prezentujemy wywiady z A. Gwiazdą i S. Michalkiewiczem, które mogą posłużyć za komentarz i swoiste podsumowanie wydarzeń politycznych ostatnich dwóch lat. Z kolei artykuł K. Brzechczyna „Sowieckie służby specjalne a PRL” stara się naświetlić mechanizmy kontroli PRL przez Związek Sowiecki. Ponadto w dziale tym zamieszczamy wyjątki z wystąpienia A. Macierewicza w Poznaniu.

W rubryce Sympozjum Falzmannowskie publikujemy blok materiałów z sympozjum poświęconego M. Falzmannowi, które odbyło się dwa lata temu w Jachrance. Wśród zamiesz-

czonych materiałów znajdują Państwo m.in. artykuły J. Przystawy, P. de Villemaresta oraz wywiady przeprowadzone z H. Wagnerem i P. Sustrówą.

Natomiast w dziale Polska – ale jaka? zamierzamy prezentować artykuły poświęcone analizie stanu społeczeństwa polskiego po 1989 r. Cykl ten inauguruje artykułami M. Zabierowskiego i K. Brzechczyna.

Z kolei w naszej stałej rubryce Historia Najnowsza prezentujemy artykuł M. Kozłowskiego „Broniewski w sowieckim Lwowie”.

Dział Recenzji zawiera omówienie dwóch książek dokonane przez Z. Bereszyńskiego i M. Kozłowskiego.

Zyczymy przyjemnej lektury.

Redaktor Naczelny

dokończenie ze s. 2

w WP funkcję preceptorów rodzimej kadry kontrwywiadu. Wpajając jej swoje metody pracy, oparte na torturach, szantażu, prowokacji i fałszu, stawali się faktycznymi architektami bezprawia, nikczemnych procesów i zbrodniczych wyroków śmierci w naszym kraju”. (E. J. Nalepa, Oficerowie Armii Radzieckiej w Wojsku Polskim 1943-1968. Warszawa 1995, s. 156).

Nie inaczej było w Ministerstwie Bezpieczeństwa Publicznego. Według wspomnień J. Światły, pracę MBP nadzorował sowiecki generał Lalin. Ponadto każdy departament MBP miał swojego „opiekuna” z NKWD, który był w nim zatrudniony na etacie doradcy bądź oficjalnego dyrektora departamentu. I tak przykładowo: faktycznym zwierzchnikiem departamentu I był sowiecki płk Gajewski, departamentu II – płk Taborycki, III – Szaraburin, VII – płk Sienkiewicz, VIII – płk Zabawski, XI – ppłk Więckowski. Etatowym pracownikiem NKWD był prezydent PRL i I sekretarz PZPR Bolesław Bierut. Ten bezpośredni nadzór nad Polską ze strony Związku Sowieckiego zakończył się w 1956 roku. Wtedy to większość sowieckich doradców zatrudnionych zarówno w wojsku, jak i w „bezpieczeństwie” opuściła Polskę. Ostatni oficerowie sowieccy wyjechali z Polski w 1968 roku.

Nie zlikwidowało to jednak sowieckiej dominacji nad PRL-em. Trwała ona dalej, tyle że w bardziej wyrafinowanej formie. Nadał więc wola władców z Kremla decydowała o przyspieszeniu bądź zablokowaniu kariery w aparacie władzy. Również kadrowa obsada „siłowych” ministerstw była zastrzeżona dla sowieckich towarzyszy. Pewne wyobrażenie o sposobie kontroli Związku Sowieckiego nad aparatami partyjnymi krajów Europy Środkowej dają wspomnienia Z. Młynarza, jednego z animatorów „Praskiej Wiosny”. Analizując nieformalne układy w KPCz, stwierdza on:

„Ci co grali, a koniec końców również sam Nowotny, odnosili się z wielką uprzejmością do niektórych na pozór szeregowych, niewiele znaczących referentów z aparatu KPCz. Gdy zetknąłem się

z tym zjawiskiem, dziwiłem się, czemu sekretarz nagle wzdraga się postąpić wbrew zdaniu zwykłego referenta, chociaż w innym wypadkach zawsze stawiał autorytatywnie na swoim, sekretarz ów mnie pouczył:

W aparacie są pewni towarzysze, co to kiedy z nimi rozmawiasz, to tak jakbyś rozmawiał w Moskwie.

Wiedzieć, którzy to towarzysze, było dla praktycznego życia w wyższych kręgach aparatu partyjnego ważniejsze niż mieć doktorat Wyższej Szkoły Partyjnej. Kto to wiedział, mógł uniknąć niejednej nieprzyjemności. I wiedział też, dlaczego akurat przed 21 sierpnia 1968 roku niektórzy zupełnie szeregowi pracownicy aparatu KPCz wyjechali na urlop do ZSRR albo do NRD. I także dziś się nie dziwi, dlaczego pracownik KC KPCz odpowiedzialny za kierowanie akademią nauk zostaje nagle ministrem spraw wewnętrznych lub dlaczego pracownik wydziału zagranicznego KC nagle okazuje się mieć najlepsze kwalifikacje na stanowisko kierownika wydziału kultury w centrali partii. Kto tego nie wie, ten porusza się po omacku i co chwila spotykają go niespodzianki” (Z. Młynar, Mróz ze wschodu. Warszawa 1989, NOWA, s. 43).

Instruktywne również w tej mierze mogą być wspomnienia Z. Rurarza, pełniącego w latach 1971-72 funkcję ekonomo- cznego doradcy E. Gierka. Pisze on, że w latach 70. „wyżsi funkcjonariusze ambasady ZSRR w PRL mieli stałe przepustki do KC i wchodzili tam kiedy im się żywnie podobało. Skoro się już znaleźli wewnątrz gmachu, to myśleli po wszystkich piętrach (choć do Gierka oczywiście poza ambasadorem nie wchodził)” (Z. Rurarz, Byłem doradcą Gierka. Warszawa 1990, s. 139).

Ze wspomnień Z. Rurarza wynika, że wielu wyższych funkcjonariuszy PZPR utrzymywało zażyłe kontakty z „radzieckimi dyplomatami”, z których wielu było nieetatowymi pracownikami KGB. Kontakty te zawsze miały wasalny charakter. Dzięki nim „towarzysze radzieccy” mogli wpływać na politykę kadrową PZPR, a pośrednio oddziaływać na politykę państwa. Z. Rurarz wspomina, że w lutym 1972 roku został zaproszony do Moskwy na

konferencję poświęconą relacjom ekonomicznym Wschód-Zachód. Podczas trwania tej konferencji odbył on siedmiodzinny rozmowę z Kostikowem, członkiem Wydziału Międzynarodowego KPZR odpowiedzialnego za sprawy polskie. Faktycznie jednak rozmowa ta była nieformalnym przesłuchaniem, podczas którego badano, czy osoba przebywająca w najbliższym otoczeniu E. Gierka jest odpowiednio lojalna i posłuszna. Jak wspomina Z. Rurarz:

„Wynik tej rozmowy dotarł do mnie pocztą pantoflową zanim zdążyłem powrócić do Warszawy. Kostikow miał ponoć powiedzieć na mój temat, że »slizskom umnyj i chytryj«, czyli trochę za mądry i za przebiegły. W lot pojąłem, że mój egzamin w Moskwie wypadł dla mnie niepomyślnie. Oni woleli mieć w otoczeniu Gierka, zresztą nie tylko tam, bądź donosicieli, bądź też różne miernoty. Wszyscy inni byli groźni” (tamże, s. 147).

Konsekwencją rozmów Z. Rurarza w Moskwie było zablokowanie jego kariery i usunięcie go z otoczenia E. Gierka. Aby zrealizować swój zamiar, Rosjanie posłużyli się innymi członkami kierownictwa PZPR. Jeżeli sowieci mieli zapewnić wpływ na obsadę w sumie tak nie znaczącej funkcji, to musieli mieć zapewniony wpływ na obsadę kluczowych stanowisk w MON czy w MSW.

Przytoczone fragmenty wspomnień osób, które od wewnątrz poznały funkcjonowanie systemu komunistycznego, jednoznacznie pokazują, że od pewnego szczebla w hierarchii partyjnej wzwyż przychyłność towarzyszy radzieckich była warunkiem dalszej kariery. Co więcej, stosunki z Kremlu karierę taką mogły znacznie przyspieszyć bądź zablokować. Kontrolą państw satelickich zajmował się wydział 11. I Zarządu Głównego (KGB dzieli się na pięć „Zarządów Głównych”, które z kolei dzielą się na „Służby” i „Wydziały”). W połowie lat 70. w wydziale tym zatrudnionych było około 110 kadrowych oficerów. Do połowy lat 80. nadzór ten wyglądał następująco:

„Grupa KGB liczyła – w zależności od aktualnych potrzeb – od kilku do kilkudziesięciu pracowników.(...) Oficerowie KGB do połowy lat 80. dysponowali stałymi przepustkami do gmachu MSW. Swobodnie poruszali się gdzie chcieli i jak chcieli. Każdy departament miał swojego »opiekuna« z głosem doradczym, który utrzymywał codzienne, robocze kontakty. Do jego obowiązków należało między innymi opiniowanie działalności funkcjonariuszy SB. Przedstawiciele KGB mieli dostęp do wszystkich materiałów w »podopiecznych« departamentach, dostawali na przykład stenogramy z podsłuchów najważniejszych obiektów, mieli prawo do sięgania do archiwów MSW, nawet najtajniejszych. Korzystali z lokali konspiracyjnych MSW, samochodów i kierowców” (I. Jurcenko, *Powrót czerwonego smoka*, „Prawo i Życie”, nr 17 z 27.04.1991, s. 6).

Wprawdzie pracownikom KGB nie wolno było werbować współpracowników wśród obywateli państw zaprzyjaźnionych, ale w praktyce zasada ta nie była przestrzegana. KGB zdołało umieścić swoich agentów nawet w otoczeniu gen. Kiszczaka. W okresie przygotowań do tzw. pierwszej Magdalenki gen. Cz. Kiszczak przygotowywał w gronie swoich najbliższych pracowników przemówienie, które zamierzał wygłosić podczas spotkania z przedstawicielami opozycji. Jednakże w ostatniej chwili przemówienie zostało zmienione. Następnego dnia po spotkaniu z opozycją ambasador sowicki pełniący jednocześnie funkcję rezydenta KGB w Polsce, ganił Kiszczaka za to, że czyni zbyt wielkie ustępstwa na rzecz opozycji... Tyle że cytował pierwotną wersję przemówienia.

Podległość polskich służb specjalnych miała charakter zinstytucjonalizowany w postaci tzw. Połączonego Systemu Danych Ewidencyjnych o Przeciwniku. Według raportu Wydziału Studiów gabinetu Ministra Spraw Wewnętrznych przygotowanego dla premiera J. Olszewskiego był to: „komputerowy system zbierania informacji o osobach oraz organizacjach uznanych za wroga dla obozu państw komunistycznych, pozostających w sferze zainteresowania jednostek operacyjnych. Sygnatariusze porozumienia PSIED zobligowani byli do przekazywania danych do centrali w Moskwie raz na dwa tygodnie. Chodziło tu o informacje, które były przez służby państw niepodległych szczególnie chronione. W systemie PSIED rejestrowano także osoby zajmujące się działalnością opozycyjną. Informacje o rejestrowanej rozmowie, przekazywane do Moskwy, charakteryzowały się wysokim stopniem szczegółowości.[...] System ten działał od 1978 roku” (cyt. za: „Tygodnik Solidarność”, nr 27 z 3.07.1992, s. 5).

Oczywiście w tak krótkim artykule nie da się wyczerpać wszystkich aspektów kontroli sprawowanej nad Polską przez ZSRS. Jego celem jest tylko zasygnalizowanie pewnych, na ogół przemilczanych wymiarów podległości Polski. Podkreślić tutaj trzeba dwie rzeczy. Współpraca z organami KGB z bratniego Związku Sowieckiego dla komunisty nie była niczym uwłaczającym. Było to tylko wypełnianie międzynarodalistycznego obowiązku. Jeżeli poczucie to było zbyt słabe to wzmacniała je świadomość, że od poparcia „towarzyszy radzieckich” zależał przebieg kariery w aparacie. Tego rodzaju świadomość była na tyle silna, że stanowiła wystarczający motyw do podjęcia formalnej lub nieformalnej współpracy z sowieckimi organami. Objęcie władzy przez środowiska wywodzące się z PZPR stwarzało niebezpieczeństwo, że zamrożone przez lata kontakty znów się uaktywnią. A to może otworzyć drogę do ponownej wasalizacji Polski.

Krzysztof Brzechczyn

w jednym zdaniu:

ORGANIZACJA „SOLIDARNOŚĆ WALCZĄCA” ROZWIĄZANA

W marcu 1995 roku we Wrocławiu odbył się III zjazd Partii Wolności. Podczas Zjazdu przewodniczący PW Kornel Morawiecki rozwiązał organizację „Solidarność Walcząca”. Zakończył się w ten sposób żywot założonego w 1982 ruchu, który na mapie politycznej Polski lat 80. wyróżniał się najbardziej antykomunizmem i bezkompromisowością. Jednocześnie zjazd zdecydował, że Partia Wolności będzie nosić odąd nazwę: Partia Wolności – „Solidarność Walcząca”.

PW – SW W ROP

Partia Wolności – „Solidarność Walcząca” przystąpiła do tworzonego wokół Jana Olszewskiego Ruchu Odbudowy Polski. Lider PW – „SW” Kornel Morawiecki został wybrany do 7-osobowego Prezydium ROP. Natomiast Maciej Frankiewicz został członkiem Rady Naczelnej ROP-u.

OLEKSY – ANTY-MONARCHISTĄ?

Kiedy J. Oleksy dowiedział się, że nie zostanie zaproszony na przyjęcie wydane przez królową angielską, powiedział, że właściwie się z tego cieszy, gdyż jest z przekonania antymonarchistą. Dziwne. Jeszcze dwa lata temu przed kamerami telewizyjnymi klęczał przez Cudownym Obrazem Matki Boskiej Jasnogórskiej, która według doktryny Kościoła katolickiego jest Królową Korony Polskiej. Czy wtedy też był antymonarchistą, czy tylko udawał?

ANTONI MACIEREWICZ W POZNANIU

29 marca przebywał w Poznaniu A. Macierewicz. Oto krótkie wyjątki z jego wystąpienia:

O swoim procesie

Wczoraj zakończyła się pierwsza część procesu przeciwko mnie i chciałbym wszystkim państwu bardzo serdecznie podziękować. Wszystkim kolegom i koleżankom, którzy przyjechali specjalnie z Poznania na ten proces. Ponieważ to właśnie postawa publiczności sprawiła, że pan sędzia musiał się troszeczkę zreflektować. Musiał przez moment przynajmniej pomyśleć czy rzeczywiście ustawa o tajemnicy państwowej, czy rzeczywiście tajność rozpraw sądowych w niepodległej Rzeczypospolitej została po to ustanowiona, żeby ukrywać zbrodnie komunistyczne, żeby ukrywać zbrodniczą komunistyczną przeszłość wielu dzisiejszych także dygnitarzy. I po kilku wahaniach, drugiego dnia sędzia uznał, że rozprawa jest jawna. Uznał dzięki temu, że poprzedniego dnia krzyczano podczas demonstracji te oczywiste prawdy: „KGB=SLD” i „Oleksy do Moskwy”. Ale uznał też dlatego, że pomimo decyzji o opuszczeniu sali państwo na niej pozostali. Ja nie jestem zwolennikiem działań siłowych w życiu publicznym. Ale tak bywa w dziejach ludzkości, w dziejach systemów totalitarnych, które deptały prawa człowieka, że przyszedł taki moment, w którym trzeba było powiedzieć, że formalna literatura prawa służy do sankcjonowania bezprawia. I tak było w tym przypadku, gdy za pomocą uchwały o tajemnicy państwowej ukrywa się zbrodniczą przeszłość komunistów.

O procesie Jaruzelskiego

Wczoraj po południu, kiedy sędzia zwrócił się do ekspertów marszałka Sejmu o dodatkowe materiały, które pozwoliłyby rozstrzygnąć mu, czy moja sprawa kwalifikuje się do Trybunału Stanu, dowiedziałem się, że adwokaci gen. Jaruzelskiego, który jest teraz sądzony za swoją zbrodniczą działalność na Wybrzeżu, zwrócili się do Sądu z prośbą o skierowanie jego sprawy do Trybunału Stanu. Otóż ja chcę oświadczyć, że gdyby tak się zdarzyło, że Jaruzelski stanie przed Trybunałem Stanu, to ja nie chcę korzystać z tego przywileju. W żadnym przypadku. Nie chcę korzystać z przywilejów władzy, które w istocie służą ukryciu winy tych, którzy popełnili zbrodnie przeciwko Narodowi Polskiemu.

O roli agentury w latach 1989-94

Warto zacytować tutaj wypowiedzi Jaruzelskiego i Kiszczaka utrzymane w podobnym tonie. Powiedzieli oni mniej więcej tak: „Nie przypuszczaliśmy, nie przypuszczaliśmy, że ci rozsądni, umiarkowani i właściwie nastawieni ludzie, tacy jak Mazowiecki i Gerek, którym przecież podarowaliśmy władzę jak na złotej tacy, tak zmnajmują tę wielką szansę i pozwolili dorwać się do władzy oszłomom, którzy otworzyli teczki i rozpoczęli tę nieprawdopodobną awanturę!” To są słowa pana Kiszczaka i pana Jaruzelskiego. Widzę, że one dobrze świadczą o tym, kto zyskuje, a kto się boi w Polsce lustracji. Boi się KGB, boi się Kiszczak, boi się Jaruzelski, boją się ci wszyscy, którzy ich chronią. Bo to dzięki tajnym współpracownikom, dzięki ich machinacjom i działaniom SLD odziedziczyła wszystkie pieniądze po PZPR. Przecież ktoś za tym głosował. Przecież ktoś był wtedy ministrem sprawiedliwości, przecież ktoś był wtedy ministrem sprawiedliwości, przecież ktoś był wtedy ministrem finansów, ktoś był wtedy prezydentem. Jakoś to się stało, że można było zbudować to gigantyczne imperium. Finansowe. Prasowe. Radiowe. Telewizyjne. Przecież jakoś to się stało, proszę państwa, że oni pozatrudniali swoje rodziny, pozatrudniali swoich znajomych. Prawda? Jakoś do tego doszło. Ktoś nad tym czuwał. Jakoś to się stało, że mógł funkcjonować FOZZ, jakoś to się stało, że Bagsik mógł działać. Jakoś do tego doszło. Ktoś te banki dostał, a ktoś ich nie dostał, ktoś stworzył taką strukturę policyjną, która uniemożliwiała zatrudnienie ludzi uczciwych w policji. Jakoś to się stało. Jak to się stało? Stało się to dzięki osłonie tajnych współpracowników, którzy albo działali świadomie na korzyść swoich „sponsorów”, albo ze strachu i małocci. Częściej ze strachu i małocci. Nie przychodzili wtedy na posiedzenia Sejmu, nie głosowali, wstrzymywali się od głosu, chorowali, wyjeżdżali. A potem mówili: „no, wiecie, tak jakoś to się stało; przegłosowali. No, niestety, SLD ma te pieniądze. No, nie pociągnięto ich do odpowiedzialności. No, ten sędzia nie przyszedł i wyrok nie zapadł”. I do dzisiaj nie można ukarać morderców księdza Popiełuszki. Jakoś to się stało.

Wybrał i z taśmy magnetofonowej spisał
Krzysztof Brzechczyn

W CZYM KWAŚNIEWSKI GORSZY OD JARUZELSKIEGO?

Wywiad z Andrzejem Gwiazdą

□ *Zbliżają się wybory prezydenckie. Czy Andrzej Gwiazda ekscytuje się tym, kto zostanie głową państwa? Prawica bije na alarm, że trzeba się jednoczyć przeciwko recydywie komuny...*

Ale przecież większość to kapusie, jeden dostał instrukcję, żeby być prawicą, inny, by zostać kimś innym. Jak będzie trzeba – to się zmienia. Takie podziały nie mają znaczenia.

□ *Czyli zostaje Wałęsa?*

Wybór Wałęsy oznaczałby, że dobrze nam tak jest, że nam się to podoba, że tego chcemy. Oczywiście każdy inny prezydent będzie prowadził politykę podobną, jednak ponowny wybór Wałęsy będzie potwierdzeniem, że to, co się dzieje w kraju od 1989 r., w pełni popieramy.

□ *Ale larum grają również ci od Macierewicza, krzyczą, że komuną opanowuje wszystko, ma większość w parlamencie, a teraz Kwaśniewski zagospodaruje prezydenturę...*

To, że komuniści wygrali, było dla mnie wstrząsem, chociaż byłem na to przygotowany. To tak, jak ze słoniami, wiadomo, że w Indiach chodzą słoniami po ulicy, ale jak je człowiek zobaczy, to jest to jednak szok. I tak samo z komunistami, to był szok. No ale wygrali, rządzą i rządzą najlepiej ze wszystkich ugrupowań po 1989 roku...

□ *Najlepiej?*

Najlepiej, z punktu widzenia interesów ludzi pracujących w zakładach przemysłowych, a zatem interesów polskich...

□ *Czyli nie należy przejmować się nawoływaniem o tworzeniu bloku antykomunistycznego, czyli ignorujemy inicjatywy typu – krakowski ruch 3/4, który powstał specjalnie w celu walki z kandydaturą Kwaśniewskiego?*

„3/4” hindusi nazywają mahometan, z racji na ich obrzezanie. Ale poważnie, ja do Kwaśniewskiego nie czuję żadnej sympatii, dla mnie jest to czerwony aparaczyk, komunistą pewnie nie jest i nigdy nie była, to tylko zwykły wyżeracz, wyżerał przy komunie, teraz wyżera przy postkomunie.

A kwestia prawicy i lewicy – te terminy trzeba uściślić. Dla mnie PZPR ani SLD nie było i nie jest lewicą, być może jest to głębokie centrum. Najzabawniejsza jednak jest polska prawica, bo jeżeli jest to ugrupowanie, które ma bronić bogatych – a żeby stwierdzić, kto u nas jest bogaty, nie trzeba być specjalnie filozofem, wystarczy się po swoich znajomych rozejrzeć – to ja nie wiem, czemu im Kwaśniewski przeszkadza i to w sytuacji, gdy chcą bronić interesów właśnie tych ludzi, którzy zrobili kariery finansowe po 1989.

Poza tym, jednym terminem „prawica” określamy prawico, które jest niejednolite. Bo jeśli ktoś wywodzi się ze związku zawodowego, to ja nie wiem, czy o nim można mówić prawica, bo związek zawodowy z natury rzeczy jest przeciw lewicowy jako organizacja reprezentująca pracowników najemnych, czyli tę warstwę ludzi, która jest najbardziej zagrożona. U nas doszło do sporego pomieszania pojęć i za prawicę zwykło się uważać tych, którzy są przeciw postkomunie czy kołchozom.

Problemem jest też brak w Polsce autentycznej, niezależnej lewicy, która nie istnieje poza pojedynczymi reprezentantami, ugupowaniami w jakiejś szczątkowej formie. W przeciwieństwie do autentycznej, niezależnej prawicy, reprezentowanej np. przez niektóre partie narodowe, które nie były przy okrągłym stole, nie akceptują tego układu i chociaż nie odgrywają żadnej roli, to jednak jakoś funkcjonują. A to, że nie ma znaczącej lewicy zawdzięczamy właśnie tzw. prawicy, która łączy pojęcie lewicy z Kwaśniewskim.

W ten sposób zresztą przygotowała ona sobie grób wyborczy. Trałbilibi, że mamy prawicowe rządy Mazowieckiego, Bieleckiego i wciśkaskali społeczeństwu, że jedyną lewicą jest komuch. No i ludzie po czterech latach doszli do wniosku, że prawica to nie jest interes i zagłosowali na jedyną lewicę, jaka była, czyli na komunę. To nie był efekt zjawiska „homo sovieticus”, jak chce książd Tischner, tylko głosowanie na kogoś, kto się wydaje inny od tych, którzy byli ostatnio przy władzy.

Prawica dziś krzyczy o powrocie komuny, bo innego hasła nie ma. Toteż jadą na resentymentach i uprawiają propagandę negatywną twierdząc – my jesteśmy mniejszym złem.

□ *Czyli na głos Andrzeja Gwiazdy jednocząca się prawica nie ma co liczyć?*

Ja jestem pracownikiem najemnym i nie mogę popierać ugrupowania, które jest przeciwko moim interesom, przeciwko interesom ludzi biednych.

Poza tym, już rządzi i pokazali, co potrafią. Warto też wrócić do historii. W tej chwili wszyscy biadola, że jak to komuniści mogli wygrać wybory parlamentarne, a teraz być może i prezydenckie, ale przecież ci komuniści wyznaczali tę prawicę, tę właśnie sobie wybrali na przeciwnika. To oni przygotowali cały ten układ, a okrążyli stół – jak już nie, raz pisaliśmy – nie miał stron. Złe rzeczy i dramatyczne działy się w roku 1989 i 1990. Wtedy trzeba było drzeć szaty, a nie w tej chwili, kiedy rządzi jakieś SLD, które niewiele różni się od Unii Pracy. Komuniści zagrażali nam w 1989 roku i wtedy trzeba było nie pozwolić na dogadywanie się z nimi maskując istotę układu. Gdzie byli ci wszyscy, którzy teraz biją na alarm, gdy prezydentem RP został gen. Jaruzelski? W czym Kwaśniewski gorszy od Jaruzelskiego?

Z komuną walczyliśmy, ale większe obrzydzenie niż komuniści budzą wyzeracze przykomunistyczni, czy systemowi, którym było wszystko jedno, przy kim i gdzie. Oni mogli być w bezpieczeństwie, mogli być w partii, w takiej lub innej, no, tam gdzie więcej płacą. Spójrzmy jak wielu ludzi znanych z działalności w poprzednim układzie politycznym szlifuje bruki po plebaniach.

□ *Na kogo w takim razie głosować?*

Bojkotować wybory. Jeśli jednak ktoś widzi kandydata, którego chciałby wybrać na prezydenta, niech na niego głosuje. Przeważnie jednak ludzie swojego kandydata nie widzą. A jak nie widzą, to nie ma kogo wybierać.

□ *A tzw. mniejsze zło?*

Jak w kraju katolickim, niemalże już oficjalnie i administracyjnie, można wybierać mniejsze zło? Przecież chrześcijanom nie wolno wybierać mniejszego zła, to jest w Ewangelii bardzo wyraźnie i wielokrotnie powtarzane.

□ *Można, jeżeli dzięki temu będziemy mogli zmniejszyć dyskryminację katolików, o której mówił nam Papież. Toteż część ludzi nabierze się na hecę wyborczą, bo będą sobie wyobrażali, że chociaż gospodarczo niewiele się zmieni, to jednak będąc przeciw SLD, będą walczyli o swobodę religijną dla Kościoła katolickiego.*

Na pewno jest grupa, którą te hasła pociągają. Jak jest liczna, nie wiem, przedstawiciele tej grupy w zasadzie nie spotykam. Jest ich pewnie niewielu w przemyśle wśród robotników, inżynierów... Poza tym rozważania, za jakimi hasłami ludzie pójda, nie mają sensu, ostateczną rozgrywkę przeprowadzi telewizja. W tej chwili można spekulować, ale pójdzie zmasowana, fachowo zrobiona propaganda i nagle wszystko się w głowach poprzestawia. Tak jak było z Tymińskim. Kilkadziesiąt inwektyw, nieuzasadnionych, nieudokumentowanych, porównywalnych do propagandy z „Żołnierza Wolności” ze stanu wojennego czy nawet z okresu „zapłutych karłów reakcji”, no i to zadziałało. Gdyby TV zaczęła powtarzać na okrągło, że Kwaśniewski to komunista i Żyd, a oni, jak wiadomo, Chrystusa ukrzyżowali i z Kościołem walczą, to i on nie miałby szans.

Zresztą ponowny wybór Wałęsy nie jest dla SLD niczym strasznym, jest nawet korzystny. Na tym polegał okrążył stół, spotkali się przedstawiciele partii i bezpieki i swoim tajnym współpracownikom zlecili zrobienie brudnej roboty. Wystawili do rządzenia ugrupowanie po ugrupowaniu, a w każdym przecież ścisłym kierownictwie jest kilka osób z listy Macierewicza i to już jest wystarczająco dużo, by ugrupowanie przesterować. I tak całą destrukcję kraju wzięła na siebie opozycja. Więc kiedy zadanie zostało wykonane, komuniści mogli sobie wygrać wybory. Mogli wygrać nie dlatego, że ludzie nagle pokochali komunistów, ale dlatego, że ta opozycja, którą

komuniści wybrali na opozycję (na to są przecież dowody – przez cztery lata odbywała się selekcja tych, którzy mają być opozycją „konstruktywną”), nic innego nie robiła, tylko torowała komunie drogę do ponownej władzy.

A wracając do wyboru Wałęsy na drugą kadencję. Dla koalicji rządowej byłoby nawet niewygodnie, gdyby teraz objęła również urząd prezydencki. Wtedy ponosiłaby pełną odpowiedzialność za całą politykę w kraju i trudniej byłoby maskować pewne pociągnięcia grami personalnymi, które służą jedynie odwróceniu uwagi od tego, co się naprawdę dzieje w sprawach ekonomicznych. Nawet jeśli będą mieli pełnię władzy, polityki generalnie nie zmienią. Nie zmienią polityki wobec MFV, nie zmienią polityki wobec partnerów ani ze Wschodu, ani z Zachodu. W tej sytuacji firmowanie wszystkiego, przy pełnym opanowaniu sceny politycznej, byłoby dla nich jednak niewygodne.

□ *Czyli SLD opłaca się przegrać wybory?*

Oczywiście, chociaż najlepszym rozwiązaniem byłoby dla nich przedłużenie Wałęsy kadencji. Wałęsa byłby prezydentem z ich taski, byłby im całkowicie podporządkowany, a oni mogliby go nadal kompromitować, zwalając na niego winę za różnego rodzaju polityczne wpadki, a przynajmniej dzieląc z nim odpowiedzialność za nie.

Bo to, co mówiłem o SLD, że rządzi lepiej od innych, nie znaczy, że rządzi dobrze. To jest ta sama polityka, ale jakby trochę lepsza, prowadzona z większym doświadczeniem, kradną mniej chaotycznie, werbalnie są lepsi. U nich nikt nie mówi, że mniejsze rybki są zjadane przez większe i to jest naturalne, że kto sobie nie radzi, to do piachu. Oczywiście opowiednia ilość bilionów idzie na prywatne konta, ale są zręczniejsi propagandowo. Poza tym, intensywność niszczenia gospodarki faktycznie osłabła.

□ *Reasumując, Andrzeja Gwiazdy nie przeraża to, że istnieje możliwość wybrania komucha na prezydenta.*

Oczywiście, że nie przeraża, bo to jest bez znaczenia, czy wygra Wałęsa, Kwaśniewski, czy Gronkiewicz-Waltz – polityka będzie taka sama. Chociaż może się różnić w niuansach. Te niuansy ludzie mogą postrzegać jako ważne, tak jak za komuny postrzegali, że ten sekretarz jest lepszy, tamten gorszy. Sekretarz wojewódzki urastał do rangi bohatera narodowego, jeśli naraził się pierwszemu sekretarzowi.

Ludzie sobie wyobrażają, że prezydent ma pełnię władzy. Nieprawda, prezydent ma tyle władzy, na ile go ludzie słuchają i to podwładni ustalają siłę władzy, a nie prezydent czy jakiś tam urzędnik. Jak podwładni nie słuchają, to znaczy, że władzy nie ma.

Iteraz wyobraźmy sobie, że będzie kandydował idealny kandydat, będzie miał wszystkie cechy pożądane u prezydenta, to przy tej bierności społeczeństwa on może się tylko skompromitować. Dlatego, że już funkcjonują w Polsce potężne lobby interesów, definitywnie sprzeczne z interesami państwowymi, narodowymi, społecznymi i taki wzorcowy kandydat nie miałby się na kim oprzeć. On miałby tylko swój formalny urząd i formalnie mógłby jedynie administracyjnie przeszkadzać, nie podpisywać jakiegś tam ustawy, wetować itp. Nic innego by zrobić nie mógł, bo społeczeństwo pójdzie na wybory, wrzuci kartkę do urny, usiadzie przed telewizorem i powie: to teraz zobaczmy, co on potrafi.

I przy takim podejściu nic się nie zmieni. A przy odpowiednim nastawieniu propagandowym mass mediów taki prezydent szybko zostanie pajacem, który działa tylko destrukcyjnie i będzie to postać groteskowa i śmieszna.

No i jeszcze pieniądze. Ktoś musi dać kandydatowi na kampanię wyborczą te 10 miliardów, których nie dostanie za frajer, tylko za to, że będzie robił, czego chce sponsor. Tych pieniędzy nie dadzą mu wyborcy.

Ktoś zdefiniował politykę, że jest to sztuka wyludzenia głosów biednych, obiecując, że będzie się reprezentowało ich interesy, i jednocześnie wyludzenia pieniędzy od bogatych, obiecując, że nie będzie się realizowało interesów biednych. I na to są skazani wszyscy kandydaci. Jeżeli w ogóle chcą mieć jakiegolwiek szansę w tych wyborach.

A ci biedni, którzy siedzą przed telewizorami i pytają, który z kandydatów by o nas dbał, powinni wiedzieć, że nikt nie będzie o nich dbał, a nawet jeśli będzie chciał, to nie będzie mógł. Problem też w tym, że biedni nie pomyślą, iż wystarczy zamiast kupna „Gazety Wyborczej” rzucić się na kampanię niezależnego kandydata, co by wystarczyło na dobry początek. Już nie mówię, by zrezygnowali z piwa czy pół litra, tylko z jednej gazety – ale to już i tak byłoby dla nich za duże poświęcenie.

Przedruk z: „Oszołom” – Młodzieżowe pismo poza cenzurą, nr 2, październik 1995, s. 4-6.

AFERY RODZĄ SIĘ NA STYKU SEKTORA PUBLICZNEGO I GOSPODARKI PRYWATNEJ

Wywiad ze Stanisławem Michalkiewiczem, redaktorem naczelnym „Najwyższego Czasu”

□ Czym się różni Unia Polityki Realnej od tzw. partii centrowych?

Generalnie rzecz biorąc, UPR opowiada się za wolnym rynkiem bez przymiotnika. Partie centrowe są za pozostawieniem w jakiejś mniej czy bardziej szcztkowej formie interwencjonizmu państwa. My uważamy, że każda interwencja państwa w procesy gospodarcze jest szkodliwa.

□ W jaki sposób ocenia Pan okres 1989-93?

Zacznę od roku 1988. Pierwszym przełomem była ustawa o działalności gospodarczej, która zniósła biurokratyczne przeszkody w rozwoju przedsiębiorczości. Po części z ustawy tej skorzystała nomenklatura, ale umożliwiła ona rozpoczęcie działalności gospodarczej innym podmiotom, nie związanym z aparatem władzy. Drugim impulsem było uwolnienie cen żywności. Za trzeci krok w kierunku gospodarki wolnorynkowej można uznać wprowadzenie wewnętrznej wymienialności złotych. Czwartym poważnym impulsem jest prywatyzacja, która następuje albo przez rozkradanie, albo drogą oficjalną. Niezależnie jednak od sposobu, powiększa ona zakres gospodarki prywatnej. Jednakże impulsy te oddziaływały na gospodarkę drogą inercji, nie znajdując świadomego wsparcia ze strony władzy politycznej. Zmianom tym towarzyszył spadek poziomu życia. Ofiarnie mówiło się, że to są koszty budowy gospodarki wolnorynkowej. Ale jeżeli budowa kapitalizmu powoduje taki spadek poziomu życia, to po co go w ogóle budować? Wystarczy przecież tkwić w komunizmie. Wydaje mi się jednak, że wyrzeczenia te to po prostu koszt podtrzymywania agonii gospodarki socjalistycznej. W tym samym bowiem czasie zakres regulacji państwa w gospodarkę poprzez system zezwoleń, koncesji, ulg inwestycyjnych itd. nie zmniejszył się, ale zwiększył.

□ Co można uznać za największy błąd obozu „Solidarności”?

W tym okresie największym błędem „Solidarności” był brak reprivatyzacji. Reprivatyzacja stworzyłaby warstwę właścicieli, która byłaby nie powiązana z nomenklaturowym biznesem. Z jednej strony, istnienie takiej warstwy zmieniłoby sytuację gospodarczą, natomiast z drugiej strony, warstwa ta stanowiłaby znaczne wsparcie dla partii prawicowych.

□ Powszechnie w naszych „elitach” politycznych wyznawany jest pogląd, że to właściwie wszystko jedno, w jaki sposób nomenklatura się uwłaszcza, gdyż za 20 lat nikt i tak nie będzie pamiętał, że budowę kapitalizmu w Polsce rozpoczęli komuniści.

Można byłoby się z tym zgodzić, gdyby nie jedna rzecz. W Polsce jest ok. 8 mln emerytów i rencistów. Nie ma przy tym oddzielnego funduszu emerytalnego, gdyż składki ZUS wpływają bezpośrednio do budżetu i stamtąd są wydatkowane na różne rzeczy, niekoniecznie związane z emeryturami. Jeżeli tak, to ten ogólnonarodowy majątek produkcyjny jest jakimś śladem tych pieniędzy. Jeżeli się go rozkradnie, to nie nie pozostanie, żadne zabezpieczenie dla emerytów. My proponowaliśmy, żeby w prywatyzowanych przedsiębiorstwach 30% akcji przeznaczyć na specjalny fundusz emerytalny. Gdyby udało się to zrobić, zostałyby stworzone jakieś zabezpieczenie dla ludzi starych. Uwłaszczenie nomenklatury natomiast tego problemu nie rozwiązuje. Nie chcę tutaj wspominać o innych kwestiach związanych z ubezpieczeniami, takich jak ich dobrowolność, powszechność itd.

□ Jakie błędy popełniła polska polityka zagraniczna?

Głównym błędem był brak jasno sprecyzowanej polityki wschodniej. Trudno powiedzieć, na ile wynikało to z sytuacji obiektywnej Polski, a na ile z wielości ośrodków prowadzących polską politykę

zagraniczną, ale pozostaje faktem, że próby stworzenia takiej polityki nie podjęliśmy. Były wprawdzie próby nawiązania do tradycji monarchii habsburskiej, ale to się nie udało. Grupa heksagonalna rozpadła się z powodu wojny w Jugosławii. Natomiast grupa wyszehradzka nie ma już takiego ciężaru gatunkowego i jej członkowie nie są tak aktywni. Jeżeli przyjmiemy, że celem państwa jest zapewnienie niepodległości, to należy zadać pytanie, czy Polska jest zdolna do zabezpieczenia swojej niepodległości. Odpowiedzią na to pytanie byłaby próba zbudowania porozumienia państw tzw. międzymorza. Kraje te leżą między Niemcami a Rosją i ich niepodległość jest powiązana, ze sobą. Próby tej, która jest na pewno ryzykowna, nie podjęto, trudno więc powiedzieć, czy jest realna, czy też nie.

□ Jak Pan ocenia program „partnerstwa dla pokoju” Billa Clintona?

Obawiam się, że pociągnie to za sobą wycofanie się USA z Europy Zachodniej. Spowoduje to odtworzenie struktury systemu międzynarodowego sprzed traktatu wersalskiego. Wówczas miejsce USA we wspólnocie europejskiej zajmą Niemcy. Nie z powodu jakichś akcji militarnych, ale z powodu ich ciężaru gatunkowego. Oznacza to, że osią nowego porządku międzynarodowego będzie współdziałanie rosyjsko-niemieckie. Stworzenie porozumienia państw międzymorza byłoby jakimś zabezpieczeniem przed kondominium rosyjsko-niemieckim w Europie Środkowej.

□ W artykule *Na wschód od Suez* 10 przykazań nie obowiązuje napisał Pan: „Sądzę, że linia demarkacyjna między strefą wpływów rosyjskich i strefą wpływów niemieckich może przebiegać wzdłuż granic krajów, które przeprowadziły lustrację”. Czy mógłby Pan rozwinąć tę tezę?

Ostatnie wypadki – zachowanie się przedstawicieli Czech podczas rozmów z Clintonem – wskazują, że Czesi niechętnie przyjmowali, żeby traktować grupę wyszehradzką jako występującą razem. Czechy – jak się wydaje – mają zamiar wcześniej wstąpić do NATO. Różnica ta jest widoczna i jedynym rozsądnym jej wyjaśnieniem jest fakt, że Czechy są jedynym jak dotąd krajem, który przeprowadził u siebie lustrację i dekomunizację.

□ I tak doszliśmy do tradycyjnego pytania o dekomunizację i lustrację?

Zgłaszając ustawę lustracyjną ujawniającą byłych agentów, chodzilo nam, żeby przeciąć możliwość szantażu osób piastujących wysokie stanowiska państwowe. Natomiast z aktywnymi agentami MSW powinno rozwiązać umowę. Nie może bowiem być tak, żeby poseł, przemawiając w Sejmie, był głosem ministra SW, a nie reprezentantem swoich wyborców. Chodziło nam tylko o to lub, jak się okazało, aż o to. Jest dla nas też oczywiste, że wszystkie osoby, które w okresie komunistycznym popełniły jakiegokolwiek przestępstwa, powinny być ścigane i osądzone. I w tym wypadku nie ma żadnej dyskusji, gdyż po prostu tak działa prawo. Natomiast dekomunizacja powinna objąć nie ludzi, ale przede wszystkim struktury społeczne, które powodują, że uwikłani w nie ludzie działają w taki, a nie inny sposób. Trzeba pamiętać, że afery i korupcja rodzą się na styku sektora publicznego z gospodarką prywatną. Obecnie SLD pod pozorem ochrony najbardziej potrzebnych chce utrzymać ten sektor publiczny, a więc chce podtrzymać to źródło korupcji i afery. Szczególną sferą jest bankowość. Banki pozostające pod kontrolą nomenklatury, korzystając z gwarancji NBP, udzielają tzw. złych kredytów. Gdyby banki te sprywatyzowano, gdyby nawet dostały się one w ręce nomenklatury, ale pozbawiono by je gwarancji NBP, to banki te nie udzielałyby więcej złych kredytów. Gdyby ich udzielały, to by po prostu zbankrutowały.

Wywiad przeprowadził Krzysztof Brzechczyn

INTERPRETACJE TRANSFORMACJI KOMUNIZMU

Sprawa FOZZ-u – transferu z budżetu państwa setek milionów dolarów – do dzisiaj została nierozwikłana. Tymczasem w mniej lub bardziej tajemniczych okolicznościach śmierć poniosły osoby mające związek z aferą: Michał Falzmann, który wykrył całą sprawę, oraz jego zwierzchnik, ówczesny prezes NIK-u Mikołaj Pańków. Po trzech latach od tragicznej śmierci M. Falzmanna, w dniach 15-17 VII w podwarszawskiej Jachrance odbyło się zorganizowane przez I. Brodacką-Falzmann, M. Makowskiego i J. Przysławę I Międzynarodowe Sympozjum Falzmannowskie pt. *Mechanizmy transformacji systemowej zastosowane w krajach b. obozu sowieckiego i ich polityczne, społeczne i ekonomiczne skutki*. Sponsorem symposiumu byli między innymi prezes NIK-u Lech Kaczyński, Mieczysław Bona z Edmonton (Kanada) oraz Zofia Starczewska-Byrska z Nowego Jorku. Oprócz prelegentów polskich w Sympozjum uczestniczyli również goście zagraniczni: Petruska Sustrova z Czech, Jacques Cheminade i Pierre de Villemarest z Francji, Helmut Wagner i Frank Hahn z Niemiec, Anna Van den Meer-Krok-Paszkowska z Belgii, Peter Raina – Hindus mieszkający w Berlinie oraz rosyjski pisarz mieszkający we Francji Władimir Maksimow. Wśród około 40 uczestników Symposiumu byli między innymi Anna Walentynowicz i Jan Parys.

Obrady odbywały się w sesjach – po dwie przed i po południu. Obrady przedpołudniowe, na których wystąpili J. Staniszkis, P. Sustrova, L. Kaczyński i A. Kowalczyk, były skoncentrowane wokół interpretacji mechanizmów transformacji komunizmu. Jadwiga Staniszkis w swoim wystąpieniu zanalizowała wyłaniający się system postkomunistyczny, będący swoistym połączeniem władzy politycznej i kapitału. Ta fuzja władzy i kapitału sprawia, że obecne podziały polityczne w swej warstwie ideologicznej mają w dużej mierze dekoracyjny charakter. Te faktyczne podziały przebiegają podskórnie, pod powierzchnią życia publicznego, a ich przedmiotem są interesy ekonomiczne rozmaitych grup nomenklaturowych.

Z kolei L. Kaczyński zajął się w swoim wystąpieniu patologią prywatyzacji. Wynika ona z istnienia licznych grup interesów: pracowników, kierownictwa zakładów, zachodnich inwestorów itp., które starają się tak zaniżyć wartość prywatnego przedsiębiorstwa, by przejąć nadnim kontrolę. W rezultacie cała procedura prywatyzacji staje się nieopłacalna dla skarbu państwa. Bardzo często w takich przypadkach NIK jest bezradny, gdyż nie ma on kompetencji prokuratury i z konieczności bazować musi na istniejących oficjalnych dokumentach.

Natomiast P. Sustrova zastanawiała się nad przyczynami odmiennej sytuacji Czech na tle innych krajów regionu. Prelegentka przy czyn tych upatruje w przeprowadzeniu lustracji i dekomunizacji, zachowaniu w polityce gospodarczej elementów opieki socjalnej (zadne z wielkich przedsiębiorstw państwowych dotąd nie upadło) powszechnej prywatyzacji, która nie uprzywilejowuje komunisty-

cznej nomenklatury oraz w niezdolności komunistów do działania w nowym stylu, jak np. w Polsce czy na Węgrzech.

Ostatni prelegent sesji przedpołudniowej A. Kowalczyk w błyskotliwym wywodzie omówił stosowność teorii totalitaryzmu do wyjaśniania systemu społecznego ukształtowanego po 1989 roku.

Referaty w sesjach popołudniowych miały bardziej zróżnicowany charakter. Przedstawiciel Instytutu Schillera J. Cheminade przedstawił politykę MFW wobec krajów Ameryki Łacińskiej, J. Balcerek dokonał krytyki przekształceń systemowych dokonujących się obecnie w Polsce, a M. Dakowski przedstawił aktualność filozofii dziejów M. Konecznego.

W tej części obrad najciekawszym wystąpieniem był referat Anny Van den Meer-Krok-Paszkowskiej z Uniwersytetu w Leiden. Uczestniczyła ona w badaniach nad parlamentami Polski, Czech i Węgier. Na podstawie przeprowadzonych badań przedstawiła ona, co sędzą o systemie wyborczym posłowie z badanych parlamentów. Następnie dokonała oceny polskiej ordynacji wyborczej. Okazało się, że pod względem stopnia demokratyczności – liczby podpisów potrzebnych do zarejestrowania kandydata, wielkości progu procentowego itd. – zajmuje ona jedno z ostatnich miejsc wśród ordynacji krajów europejskich. Ożywioną dyskusję wywołała też porównanie zalet i wad ordynacji proporcjonalnej i większościowej. Zdaniem P. Paszkowskiej, a wbrew odczuciu większości uczestników Symposium, ordynacja proporcjonalna gwarantuje większą reprezentatywność wybranych posłów oraz zapewni większą więź posła z wyborcami.

W drugim dniu obrad odbyły się dwie sesje. Władimir Maksimow mówił o kondycji duchowej Rosjan, P. Raina zastanawiał się, w jaki sposób pogodzić egoistyczne motywy jednostek z dobrem ogółu, F. Hahn analizował czynniki wzrostu gospodarczego, a P. de Villemarest mówił o znaczeniu tajnej gospodarki i działaniach KGB na Zachodzie (zamieszczamy pełny referat).

W tym dniu najwięcej kontrowersji wzbudziło wystąpienie prof. H. Wagnera z berlińskiego Freie Universität. W swym referacie przedstawił on wizję zjednoczonej Europy (patrz wywiad) oraz rolę w niej małych i wielkich narodów, które będą musiały ze sobą współpracować. Największe obawy wśród słuchaczy, zarówno polskich, jak i francuskich, wzbudziła groźba utraty narodowej suwerenności oraz niebezpieczeństwo biurokratyzacji i kulturalnej urawniłowki Europy.

Symposium zakończyło się Mszą odprawioną przez ks. Małkowskiego w intencji śp. M. Falzmanna.

Myślę, że symposium to było cenną i pożyteczną inicjatywą. Dało okazję do pogłębionej refleksji nad przemianami w naszej części Europy, położeniem Polski i jej roli w zjednoczonej Europie. Warto więc ideę organizowania tego typu symposiumu kontynuować.

Krzysztof Brzechczyn

INFORMACJA NA KONFERENCJĘ PRASOWĄ

18 lipca mijają trzy lata od śmierci Michała Tadeusza Falzmanna, inspektora NIK, który w marcu 1991, podczas kontroli w Funduszu Obsługi Zadłużenia Zagranicznego, wpadł na trop tego, co dziś jest określane jako „afera FOZZ”.

W śródkach masowego przekazu sprawa ta jest sprowadzana do „nieprawidłowości” czy też różnych machinacji przy okazji „cichego wykupu” polskich weksli dłużnych na tzw. wtórnym rynku i do poszukiwania przestępców, którzy pod tym przykryciem sprzeniewierzyli większe i mniejsze sumy z budżetu państwa. Nie to jednak stanowiło istotę rewelacji Michała Falzmanna.

Michał Falzmann ujawnił:

1. **Chaos w księgowości państwa**, a więc: brak pełnego rejestru polskich długów; brak dokumentacji źródłowej zaciąganych kredytów; błędne salda; księgowanie wydatków jako przychody i przychodów jako wydatki; brak dokumentacji transferu ogromnych kwot za granicę; itd. itp. Efektem tego chaosu jest np. interesujący fakt, że do dzisiaj, pomimo upływu 3 lat, nie udało się sporządzić bilansu FOZZ.
2. **Udział najwyższych urzędników państwa**, od ministra finansów poczynając, w ukrywaniu i maskowaniu tego stanu rzeczy.

3. **Nie kontrolowane transfery ogromnych kwot**, z Polski i do Polski, na skalę miliardów dolarów. M.in. napływ kapitału spekulacyjnego, który w roku 1990 oceniał na ok. 2-3 mld.

4. **Funkcjonowanie spekulacyjnych mechanizmów rabunkowych dolarów** wykorzystujących zasady polityki finansowej państwa, które spowodowały ograbienie Polski na skalę wielu miliardów dolarów. Najbardziej spektakularnym przykładem wykorzystania takiego mechanizmu była działalność Art-B. Natomiast FOZZ służył jako „czapka-niewidka” dla funkcjonowania tego samego mechanizmu na dużo szerszą skalę.

W związku z niedawnym aresztowaniem Bogusława Bagsika, tygodnik „Polityka” w nr 26 z dnia 25 czerwca br. opublikował duży artykuł Jerzego Działowickiego *Art-B a sprawa polska*. Artykuł ten zaczyna się swego rodzaju przesłaniem. „Jeżeli nawet »Polityka« chce dołączyć do chóru mediów karmiących się rozkładającymi się od trzech lat zwłokami Art-B, warto może przypomnieć kilka kwestii, postawić kilka pytań”. Spóźnione to jest wszystko okrutnie, ale zawsze lepiej późno niż wcale. Niestety, pytania dziennikarza „Polityki”, z ubolewaniem stwierdzić trzeba, nie dotyczą istoty sprawy. Weksłują ją na tory porachunków „grupowych” i dotyczą udziału

Prezydenta Wałęsy, premiera Mazowieckiego oraz polityków PC w osłanianiu procedury Art-B. Oczywiście chcielibyśmy wiedzieć, czy owi politycy wiedzieli, co robią – dając osłonę polityczną aferzystom finansowym, którzy zgłosili się do nich jako sponsorzy ich działań politycznych. Jednakże dużo ważniejsze jest pytanie o to, **jaki udział w tej grabieży Polski miała polityka finansowa RP, mechanizmy finansowe**, które miały nam zapewnić „wejście do Europy”, a przyniosły w efekcie mizериę i pauperyzację ogromnej większości obywateli? Ponieważ nie tylko Bagsik wykorzystywał te mechanizmy. Oczywiście, aby „przekreślić” pół miliarda dolarów w ciągu roku, do tego potrzebny był i MOSAD, i życzliwość premiera i prezydenta, o prezesie NBP nie wspominając. W tym czasie jednak mechanizm ten wykorzystywały setki i tysiące pomniejszych „bagsików”, którzy bez tak wysokich koneksji rabowali ile się da i ten zwielokrotniony wysiłek przyniósł Polsce straty dużo większe niż Art-B. Pytania o ten **mechanizm** i kto za jego funkcjonowanie odpowiada, dziennikarz „Polityki”, taktownie nie zadaje. Taktownie, ponieważ wie o jego istnieniu, a nawet opisuje ten mechanizm, czeka tylko, aby ktoś inny te pytania postawił.

Oto ilustracja: Działowski opisuje, jak jesienią 1990 roku Art-B złożyła w PKO BP wkład terminowy 400 mld zł. Od 1X do 31 XII miał on przynieść odsetki w wysokości 80 mld. Około Bożego Narodzenia kierownictwo PKO zwróciło się z prośbą o zerwanie umowy i **rezygnację z odsetek**, bo rezerwy banku na koniec roku wyniosły... 24 mld złotych!

Cóż w tak interesującej sytuacji robią prawdziwi biznesmeni? Jak traktują naszego bankruta, Bank Państwa PKO? Czy idą do sądu, do komornika? Każą aresztować przestępców, którzy wyłudziili od nich takie wielkie pieniądze i okazali się niewypłacalni? Bynajmniej. Przynoszą do tej przestępczej, ukrywającej swoje bankructwo instytucji dodatkowe 250 mld złotych i zawierają z nią **nową umowę**, tym razem już nie na 3 miesiące, **ale na 5 lat!**, z odsetkami **jakie bądź, jakie aktualnie będą obowiązywać**, chcą tylko w zamian **skumulowanej gwarancji bankowej** na całą kwotę, tj. na 2,5 biliona złotych! Dziennikarz „Polityki” pisze: „cel był dość oczywisty, chodziło o uzyskanie zachodnich, znacznie tańszych kredytów dewizowych”!

Oto mamy **in the nut shell**, jak mówią Anglicy, jak działają PRAWDZIWI ŻŁODZIEJE, na wielką skalę, przeciwko którym nie istnieje dzisiaj w Rzeczypospolitej Polskiej żaden paragraf Kodeksu karnego. Mamy przestępczy mechanizm, mamy bank państwowy, który dopuszcza się przestępstwa, mamy osłonę polityczną dla rabusiów polskich pieniędzy. Ten „kwit gwarancyjny” na 2,5 bln złotych, tj. na ok. 250 mln dolarów, dawał możliwość zaciągnięcia kredytu w jakimś banku zachodnim na odpowiednią kwotę, przy-

wieżenia tych pieniędzy do Polski i podwojenia tej kwoty w ciągu zaledwie roku. Takie możliwości otworzyła przed PRAWDZIWI-MI ŻŁODZIEJAMI polityka finansowa Rzeczypospolitej, polityka Ministerstwa Finansów RP!

2 czerwca 1991 złożyliśmy na biurku Ministra Sprawiedliwości i Prokuratora Generalnego RP „Powiadomienie o przestępstwie”, wraz z ok. 300 stronami dokumentów zgromadzonych przez Michała Falzmanna. Odpowiedzi na nasze powiadomienie do dnia dzisiejszego nie doczekaliśmy się. Zamiast tego Michał Falzmann został odsunięty od czynności śledczych, zawieszony, a 18 lipca już nie żył.

W październiku tego samego roku zginął w tajemniczym wypadku Prezes NIK, prof. Walerian Pańko. Akurat w dzień poprzedzający jego wystąpienie w Sejmie, gdzie miał przedstawić raport NIK, oparty głównie na materiałach zgromadzonych przez Michała Falzmanna. Od tej pory Sejm RP sprawą FOZZ już się nie interesuje. Sprawa mechanizmu rabunkowego, o którym tu mówimy, nigdy przedmiotem zainteresowania Sejmu się nie stała.

W maju 1992 roku opublikowaliśmy książkę *Via bank i FOOZ o rabunku finansów Polski*, napisaną na podstawie dokumentów Michała Falzmanna. Książka ta nie znalazła drogi na łamy wielokładowej prasy, nie została zważona przez krytyków, komentatorów tego, co można znaleźć w księgarniach. Zresztą książki naszej w księgarniach znaleźć nie można. „Afera FOZZ” pojawia się od czasu do czasu w mediach i zawsze jest to dezinformacja. Jak np. audycja majowa w tv z udziałem pani Agnieszki Romaszewskiej i prokuratora Janusza Kalwasa. Pokazano nam auto zapakowane 180 tomami akt oraz prokuratora, który opłakuje fakt, że sąd nakazuje mu jeszcze poszukiwania ekspertów, a tych ekspertów nie ma, a jeśli nawet są, to brakuje 30 miliardów na ich opłacenie! O tej **dużo większej sprawie: o mechanizmach rabunku Polski** panuje milczenie.

Z tą myślą, aby uczynić wszystko co jest możliwe, żeby to milczenie przerwać, zorganizowaliśmy I Międzynarodowe Sympozjum Falzmannowskie i dzisiejszą konferencję prasową. Pragniemy na tym Sympozjum postawić głośno pytania, których nie odważył się postawić dziennikarz „Polityki”. Pragniemy się zapytać o *differentia specifica* polskiego przejścia od realnego socjalizmu do kapitalizmu. Chcemy postawić pytania o odpowiedzialność elit politycznych za sposób tego przejścia. Chcemy porównać naszą sytuację z podobnymi „transformacjami” w innych krajach b. obozu sowieckiego, ale nie tylko sowieckiego. Chcemy się pokusić o sformułowanie propozycji wyjścia z impasu historycznego.

Jerzy Przystawa
Miroslaw Dakowski

KOPYTA, ROGI I OGON FOZZ

W ciągu ostatnich tygodni w polskich „publikatorach” pojawił się ponownie temat Funduszu Obsługi Zadłużenia Zagranicznego (FOZZ), temat starannie spychany na margines świadomości Polaków, gmatwany i wikłany, tak aby nikt nie mógł się zorientować, o co w tej sprawie naprawdę chodzi. W połowie maja tv wyemitowała nawet zabawny program z udziałem prokuratora Janusza Kalwasa i Agnieszki Romaszewskiej, który był znakomitą ilustracją tego niebywałego wysiłku. Prokurator Kalwas pokazał telewizjom **180 tomów akt**, sporządzonych przez Prokuraturę w sprawie FOZZ, a które Sąd odesłał do dalszych opracowań, domagając się powołania dodatkowych ekspertów i biegłych, bez których ta gigantyczna sprawa nie jest w stanie ruszyć z miejsca! Pan prokurator dał nam od razu do zrozumienia, że jest to zadanie niewykonalne, bo w Polsce po prostu nie ma ludzi, którzy potrafiliby taką pracę wykonać!

Kilka tygodni wcześniej sensacją polityczną, a nawet przyczyną kryzysu rządowego, stały się wypowiedzi Prezydenta Państwa, który odmówił zatwierdzenia kandydatury Dariusza Rosatego na stanowisko wicepremiera i ministra finansów, uzasadniając swoją decyzję tym, że Dariusz Rosati był członkiem Rady Nadzorczej FOZZ. Według Lecha Wałęsy FOZZ była to instytucja, w której popełniono przestępstwo, a zatem członkowi jej Rady Nadzorczej nie można powierzać tak poważnego stanowiska publicznego.

Pan Prezydent nie był jednak jedyną osobą, która nawiązała w ostatnich tygodniach do tematu FOZZ. Sprawę tę poruszyły gazety chicagowskie, a w ślad za nimi i szereg wysokonakładowych pism w Polsce, gdyż nagle się okazało, że jedna z najbogatszych

osób na świecie, amerykańska miliardka pani Barbara Piasecka-Johnson, brała pieniądze od FOZZ i nie wywiązała się ze zobowiązań wobec tej, państwowej w końcu, instytucji. Również głośna afera z przyznaniem koncesji na nadawanie ogólnopolskiego programu telewizyjnego tajemniczemu biznesmenowi, ostatnio znanemu pod nazwiskiem Solorz, ujawniła, że także i ten nowo urodzony bogacz brał pieniądze od FOZZ! Związek pana Solorza z FOZZ powinien być szczególnie interesujący dla mieszkańców Wrocławia, bo to on był przecież, w roku 1990, GŁÓWNYM SPONSOREM Komitetu Obywatelskiego „Solidarność” i kto wie, czy to nie jemu wrocławianie zawdzięczają sukcesy wyborcze panów: Frasińskiego, Turkowskiego, Zdrojewskiego, Kieresa i innych? Warto też zwrócić uwagę na fakt, że niesłychanie bulwersująca opinię publiczną afera z akcjami Banku Śląskiego również, jak się okazuje, ma coś wspólnego z tematem FOZZ! Powiedział to w Sejmie poseł BBWR, dr Jerzy Eysymont, były szef Centralnego Urzędu Planowania w rządzie Jana Krzysztofa Bieleckiego, który stwierdził, że „afery Banku Śląskiego wywołuje temat FOZZ”. Pan poseł nie wyjaśniał bliżej tej sprawy, ale z różnych „przecieków” wiemy, że chodzi tu o to, iż akcjonariuszami banku holenderskiego, który przejął lwia część akcji Banku Śląskiego, było aż 8 tajnych „kontrafentów” FOZZ!

Jak tylko z tych kilku sygnałów widać, wszędzie tam, gdzie w Polsce pojawiały się „komplikacje” czy „nieprawidłowości” związane z wielkimi pieniędzmi, tam nieodmiennie wyłaziły zaraz jak nie rogi, to co najmniej ogon albo kopyto FOZZ! Ale jeśli mielibyśmy wierzyć słowom byłego premiera, Jana Olszewskiego, że sprawa FOZZ była (jest?) największą aferą w całej powojennej

historii Polski! (zob. Jan Olszewski, *Przerwana premiera*), to trudno się temu dziwić. Pogląd podobny wyraził w książce *Lewy czerwcowy* były minister współpracy gospodarczej z zagranicą, Adam Glapiński.

Wielu polskich inteligentów mogłoby nie zaprzętać sobie głowy tematem FOZZ i nadal uważać alarmujących w tej sprawie za niewartych poważniejszej refleksji „oszołomów”, gdyby opinie takie wygłaszali dzisiaj (dzisiaj, ponieważ jakoś tak się złożyło, że w czasie gdy sprawowali swoje urzędy, nie kwapili się bynajmniej do alarmowania nas w tej sprawie) jedynie owi, tak elegancko przez Lecha Wałęsę określani „popaprańcy”, czyli przegrani polityczni polskiej prawicy. Albowiem wszystkie pisma tzw. lewicy, od „Gazety Wyborczej”, poprzez „Trybunę” i „Wprost”, do „Nie”, systematycznie i uporczywie starały się, przez te wszystkie lata, znaczenie sprawy FOZZ pomniejszyć, zamazać, przemilczeć, a jeśli nie dawało się zamilczeć, to wyśmiać i wykić ludzi sprawę tę publicznie podnoszących. I oto dzisiaj, w tych samych gazetach, przeczytać możemy wyznania obecnego wicepremiera, ministra sprawiedliwości i prokuratora generalnego w jednej osobie W. Cimoszewicza, który twierdzi, że z kilkudziesięciu wielkich afer, rozpracowaniem których zajmują się podległe resorty, tylko afery FOZZ i Art-B zagrożą bezpieczeństwu państwa.

Cokolwiek byśmy myśleli o kompetencjach czy wiarygodności wszystkich tych polityków, to przecież nie można przejść do porządku nad tego rodzaju wypowiedziami ludzi, którzy albo piastowali, albo nadal piastują najwyższe funkcje państwowe w Polsce! Można się tylko zdumiewać, jak to się dzieje, że w związku z aferą w tej skali, z aferą, o której z oburzeniem mówi i pan Prezydent, i premierzy, i ministrowie nie ma nadal ani jednego oskarżonego i nikt nie siedzi nawet w areszcie śledczym! Siedzą przecież w więzieniach setki, jeśli nie tysiące, różnych drobnych aferzystów, którzy narazili Skarb Państwa na straty rzędu kilkunastu milionów czy miliardów, a tam, gdzie idzie co najmniej o dziesiątki milionów naszych pieniędzy, w sprawie, która **zagroziła bezpieczeństwu Państwa**, w tej sprawie nie siedzi nikt. Warto sobie uzmysłowić, że różnica pomiędzy bilionem a milionem to różnica 6 zer, innymi słowy MILION złodziei, z których każdy ukradł MILION, daje tyle samo, co jeden dobry skok na BILION! Dwaj młodzi aferzyści, Bagsik i Gąsiorowski, którzy „rąbnęli” nam głupie pół miliarda dolarów, tj. ok. 11 bilionów złotych, wykonali „pracę” równą pracy 11 milionów kieszonkowców, z których każdy wyciągnąłby z naszych kieszeni po milionie.

Spróbujmy więc, w największym skrócie odpowiedzieć sobie na pytanie:

O co chodzi w sprawie FOZZ ?

Aferę FOZZ (zwaną potem z angielską „FOZZ-gate” wykrył i ujawnił na wiosnę 1991 r. inspektor Najwyższej Izby Kontroli Michał Tadeusz Falzmann, który został skierowany do Funduszu Obsługi Zagranicznego na rutynową kontrolę, jakich tysiące przeprowadzają inspektorzy NIK we wszystkich państwowych instytucjach.

FOZZ był wówczas instytucją państwową, której statutowym celem było gromadzenie środków i obsługa CAŁEGO Polskiego długu państwowego. Radę Nadzorczą FOZZ tworzyli najwyżsi finansowi dostojnicy państwa, w tym dwóch urzędujących wice ministrów finansów (Sawicki i Misiąg), prezes i b. wiceprezes Narodowego Banku Polskiego (Wójtowicz i Wołoszyn), jeden b. wicepremier (Sadowski), I Sekretarz PZPR w Ministerstwie Finansów i dyrektor departamentu zagranicznego w Ministerstwie Finansów (Boniuć) oraz niewinnie wyglądający dzentelmen o nazwisku Dariusz Rosati, pełniący funkcję profesora i dyrektora instytutu „naukowego” przy Ministerstwie Finansów, a więc miejsca, gdzie kształtuje się „naukowe” fundamenty polityki finansowej państwa. Jak więc z tego składu osobowego Rady Nadzorczej widać, zasiadali w niej NAJWAŻNIEJSI i najwyżsi rangą urzędnicy Państwa odpowiedzialni za jego finanse. Warto dodać, że minister Misiąg sprawuje swój urząd w sposób nie zakłócony kolejnymi wyborami parlamentarnymi, 6 już zmianami rządów i pozostaje nadal faktycznym NUMEREM JEDEN, jeśli chodzi o finanse Rzeczypospolitej. Mimo bowiem skromnego stanowiska wiceministra, jego rola w rządzie jest dużo ważniejsza od roli wielu ministrów, gdyż to on de facto układa Budżet Państwa, trzyma w rękę wydatki budżetowe i o jego względy zabiegają wszyscy kierownicy poszczególnych ministerstw, a także, chcąc nie chcąc, Kancelarii Prezydenta. Pan Prezydent zatem nie domaga się jego ustąpienia z zajmowanego

stanowiska, uważając najwyraźniej, że to, co jest bezwzględnie kompromitujące w stosunku do pana Rosatego, pana Misiąga w żaden sposób nie kompromituje.

Chaos w księgowości państwa

To, co od razu odkrył Michał Falzmann już w pierwszych dniach swojej kontroli, to fakt, że w instytucji obracającej miliardami dolarów i obsługującej ok. 50 miliardów dolarów polskiego długu państwowego, księgowość znajduje się w stanie kompletnego chaosu, gdzie nie tylko nie prowadzi się skrupulatnych zapisów „od kogo”, „ile”, „komu”, „za co”, ale w której dochodzi do takich paradoksów, że WYDATKI księguje się jako PRZYCHODY i vice versa! Nic więc dziwnego, że żadne bilanse się nie zgadzały i do dnia dzisiejszego, mimo że od śmierci Michała Falzmanna upłynęły już trzy lata, nadal rzesze biegłych księgowych nie są w stanie sporządzić BILANSU FOZZ! Jak w takiej sytuacji członkowie Rady Nadzorczej FOZZ mogą przebywać gdzie indziej niż w więzieniu, nie mówiąc już o sprawowaniu i kandydowaniu do najwyższych stanowisk państwowych, to jest jedna z rozlicznych ZAGADEK III Rzeczypospolitej, ale my się tu zagadkami zajmować nie będziemy, lecz spróbujemy przyjrzeć się faktom.

Nieuctwo czy metoda?

Oczywiście, Michał Falzmann, który był człowiekiem wykształconym i fachowym, nie pomyślał ani przez chwilę, że profesorowie Rosati i Sadowski to nieucty, a prezesi NBP i ministrowie finansów to debile, którzy nie wiedzą, co to jest i do czego służy księgowość. Zaczął więc podejrzewać (warto zwrócić uwagę, że podejrzliwość w przypadku inspektora NIK to nie jest „hołdowanie spiskowej wizji dziejów”, tylko obowiązek zawodowy), że jeśli w księgowości Państwa panuje chaos, to musi to być chaos jak najbardziej **racjonalny i zamierzony**.

Te podejrzenia szybko znalazły potwierdzenie. Okazało się bowiem, że FOZZ prowadził na szeroką skalę NIELEGALNE z punktu widzenia prawa międzynarodowego operacje finansowe, polegające na „cichym” wykupie polskich długów na tzw. wtórnym rynku. Operacje nielegalne, ale podobno szalenie KORZYSTNE (tak przynajmniej uzasadniono) dla Polski, bo Polska jakoby wykupywała swoje długi za połowę czy ćwierć ceny! Było więc obowiązkiem PATRIOTYCZNYM panów Rosatego, Misiąga and Co. UKRYĆ te operacje, nie księgować, ukryć agentów wykupujących polskie długi itp. itd. Nie zapisywano więc w księgach, ile milionów dolarów wypłacono jakiemuś panu, były to „dzentelmeńskie umowy” zawierane przez dyrektora FOZZ z różnymi „dzentelmenami”, wierzone sobie, tak jak Ewangelia nakazuje, „na słowo”. I faktycznie, dyrektor FOZZ, pan Zemek okazał się prawdziwym dzentelmenem, bo podczas wielomiesięcznego pobytu w areszcie śledczym nikogo nie sygnął! Nie sygnęła też nikogo jego zastępczyni, uroczna pani Chim, nic więc dziwnego, że w nagrodę za tę bezkompromisową i dzentelmeńską postawę dawno już wypuszczono ich na wolność i mają się dobrze.

Michał Falzmann nie był jednak prawdziwym EUROPEJCZYKIEM i pojęcie dzentelmeństwa było mu jakoś obce. Chociaż studiowanie Pisma Świętego było jego prywatnym hobby, mimo to, zupełnie tak jakby nie czytał nigdy słów „Niech mowa wasza będzie TAK-TAK, NIE-NIE”, w dalszym ciągu domagał się jako kontroler NIK, aby mu pokazano kwity: ile pieniędzy wypłacono komu, i żeby mu pokazano te weksle dłużne, które za te pieniądze miały być wykupione! Chciał zobaczyć po prostu, czy Polska na tych „cichych” operacjach cokolwiek zyskała.

Niestety, Michałowi Falzmannowi udało się tylko stwierdzić fakt, że pieniądze zostały wypłacone, choć do dzisiaj nie wiadomo dokładnie komu, oraz że upragnione, nielegalnie wykupywane weksle dłużne do Skarbu Państwa nie wróciły! Ot, tak jak się to dziś wypisuje w gazetach o pani Piaseckiej-Johnson: otrzymała od FOZZ 1,3 mln dolarów (w złotychkach), za które miała wykupić weksle dłużne na kwotę 300 tysięcy dolarów. Pieniądze dostała, weksle nie wróciły i sprawa jest w sądzie. Tutaj jednak przynajmniej oskarża się osobę o konkretne kwoty, zresztą bagatelne (nie można wręcz uwierzyć, że taka bilionerka mogła pójść na tego rodzaju „deal” za parę groszy! Ale, jak wiadomo, są rzeczy, o których się nie śniło filozofom), w innych przypadkach sprawa przedstawia się dużo gorzej.

Trzymiesięczną walkę Michała Falzmanna o wyjaśnienie, GDZIE i JAK przepadły miliardy dolarów, i o wyjaśnienie, jaką rolę w tym

zaginięciu odegrała tajemnicza instytucja o niewinnej nazwie FOZZ, opisaliśmy szerzej w naszej książce (Miroslaw Dakowski i Jerzy Przystawa: *Via bank i FOZZ. O rabunku finansów Polski*). Walka była krótka, bo 18 lipca 1991 pochowaliśmy Michała Falzmanna na Cmentarzu Powązkowskim w Warszawie. Trzy miesiące później odbył się pogrzeb jego szefa, prof. Waleriana Pañki, Prezesa NIK, który zginął w przeddzień przedstawienia Sejmowi wyników dochodzeń w sprawie FOZZ. Jakoś tak się złożyło, że po jego śmierci już nikt w Sejmie RP sprawy FOZZ referować nie próbował. Pojawia się ona tylko, od czasu do czasu, w nieśmiały, aluzyjnych wypowiedziach różnych polskich polityków i wówczas wystaje tylko tak jak diabli ogon spod sutanny.

Albowiem analiza materiałów, jakie wbrew wszelkim szykanom i przeszkodom stawianym na drodze jego dochodzenia udało się Michałowi Falzmannowi zgromadzić, pokazuje, że

FOZZ był tylko cylindrem dla ukrycia ROGÓW!,

„nielegalne” wykupywanie długów na wtórnym rynku było tylko wygodnym pretekstem dla zacierania śladów prawdziwych transakcji i spekulacji finansowych na wielką skalę. Efektem NETTO tych operacji finansowych był NIEKONTROLOWANY WYPIŁYW DEWIZ za granicę, systematyczny drenaż dewizowy Państwa Polskiego, którego skalę szacujemy na DZIESIĄTKI MILIARDÓW DOLARÓW.

Jak to było możliwe? Jaki był mechanizm drenażowy?

Mechanizm ten bardzo szczegółowo, i z dużym zadowoleniem ze swoich osiągnięć, przedstawili Bagsik i Gąsiorowski w rozmowach z dziennikarzem Jerzym Diatłowickim (*Bagsik i Gąsiorowski: Jak kradliśmy książkę?*). Sprowadzał się on do wielokrotnego (ILE SIĘ DA!) powtarzania tego samego spekulacyjnego cyklu 4 operacji: KREDYT KRAJOWY – LOKATA – KREDYT ZAGRANICZNY – „ODBICIE” (tj. wymiana na złotówki i lokata w Kraju).

Operacja pierwsza: DUŻY KREDYT

Trzeba było dostać od jakiegoś banku polskiego DUŻY KREDYT złotówkowy. Duży, tzn. nie jakieś kilka czy kilkanaście milionów złotych, ale właśnie Z ROZMACHEM: kilkadziesiąt czy kilkaset miliardów, najczęściej były to kredyty równoważne kilku czy kilkunastu milionom dolarów (milion USD był wówczas równoważny 10 miliardom zł, obecnie stanowi równowartość ok. 22 mld zł). Każdy jako tako uzasadniony pretekst był dobry. Jedną z głośniejszych spraw była propozycja wykupienia fabryki traktorów URSUS, na co Art-B dostała kredyt ok. 40 miliardów. Ale TYSIĄCE „biznesplanów” tego typu zostało wymyślonych przez odpowiednie rzesze „biznesmenów” w ciągu ostatnich paru lat.

Przyjmijmy, dla uproszczenia, że ten kredyt wynosił 100 j.u. (jednostek umownych, np. milionów dolarów czy miliardów złotych).

Oczywiście, nawet przy najlepszych znajomościach (np. przyjacielem Bagsika i Gąsiorowskiego był Prezes Narodowego Banku Polskiego i członek Rady Nadzorczej FOZZ Grzegorz Wójtowicz; ale aż tak wysokie koneksje nie były wcale konieczne) kredyt ten był wysokooprocentowany, odpowiednio do aktualnego wskaźnika inflacji. Powiedzmy, że kredyt ten był oprocentowany na 80% w stosunku rocznym. Oznaczało to, że dany „biznesmen” był winien bankowi na końcu roku:

$$10 + 80\% = 180 \text{ j.u.}$$

Operacja druga: LOKATA

Każdy rozumie, że trudno nosić taką GÓRĘ PIENIĘDZY w kieszeni czy w walizkach. Co począć, kiedy kontrahent operacji, dajmy na to tenże URSUS, w trakcie analizowania naszego „biznesplanu” rozmyślił się albo towar zatrzymano na jakiejś granicy, albo transport wpadł do rzeki? Są to wszystko wypadki losowe, które najczęściej się właśnie zdarzały przy tych finezyjnych „operacjach biznesowych”. Nasi „biznesmeni”, jako ludzie dowcipni i zapobiegliwi, lokowali więc te pożyczone w banku pieniądze NA LOKATĘ w innym (a czasem nawet w tym samym, dlaczego nie?) banku. W ten sposób zabezpieczali się przed inflacją i innymi kłopotami. LOKATA oznaczała, że „biznesmen” przynoszący w walizce owe umowne STO (które pożyczyl w tamtym banku, nazwijmy go Ban-

kiem A), oddawał je na przechowanie, powiedzmy na rok, na wysoki procent, który w tym samym czasie wynosił, powiedzmy, 78%. (Procent ten był zmienny w różnych okresach, zawsze jednak był o około 2% niższy od oprocentowania kredytu. Były okresy, że stopa procentowa przekraczała 100).

W ten sposób „biznesmen” otrzymywał gwarancję, że po upływie, powiedzmy, roku ten drugi bank (nazwijmy go Bankiem B) będzie mu winny:

$$100 + 78\% = 178 \text{ j.u.}$$

Teraz każdy przytomny człowiek zapyta: po cóż takie komplikacje, żeby za pomocą takich znajomości przeprowadzić operację, w wyniku której traci się 2% pożyczonej gotówki? Oczywiście. Pamiętać jednak należy, że jeśli nasz „biznesmen” jest dłużnikiem wobec Banku A, to wobec Banku B jest odwrotnie, i dlatego Bank B może, i ma obowiązek, wystawić mu teraz GWARANCJĘ BANKOWĄ, że nasz „biznesmen” posiada w nim aktywa na kwotę 178 j.u., które to pieniądze bank będzie musiał mu wypłacić takiego to a takiego dnia!

I z taką gwarancją, AKREDYTYWA, czyli „letter of credit”, nasi dowcipni (i ustosunkowani!) „biznesmeni” wykonywali

Operację trzecią: KREDYT ZAGRANICZNY

List kredytowy z polskiego BANKU B (pamiętajmy, że nie żyjemy już w komunistycznym PRL, tylko w Polsce, która wchodzi do Europy, pełno w niej zachodnich „biznesmenów”, „konsultingowców”, „ekspertów”, „free market” itp. itd.) otwiera przed naszymi „biznesmenami” szerokie możliwości zwrócenia się z innym „biznesplanem” do któregoś z rozlicznych banków zachodnich (mogą być nawet japońskie, koreańskie czy włoskie — dolary wszędzie są podobne) o pilną pożyczkę. Pamiętając, że w Banku B mają aktywa gwarantowane w wysokości 178 j.u., powiedzmy, że zaciagną kredyt w zagranicznym Banku C na kwotę 170 j.u.

Banki zachodnie, tak jakoś się szczęśliwie (dla ludzi robiących w Polsce „biznes”!) składa, dają kredyty NISKOOPROCENTOWANE, powiedzmy na 10% w stosunku rocznym. Policzmy więc, że nasz „biznesmen” będzie musiał oddać do Banku C:

$$170 + 10\% = 170 + 17 = 187 \text{ j.u.}$$

Teraz już pozostaje do wykonania to, co Bagsik i Gąsiorowski nazwali pomysłowo: ODBICIE.

Operacja czwarta: ODBICIE

Krótko mówiąc: aby uniknąć wszelkich przeciwności losu z niepewną realizacją ich wspaniałego „biznesplanu”, błyskawicznie zawozili pieniądze do Polski, wymieniali dolary na złotówki i oddawali do jakiegoś poręcznego banku D (czy B) NA LOKATĘ! Oznaczało to, że bank ów zawierał z nimi umowę, że po okresie, powiedzmy, roku odda im:

$$170 + 78\% = 170 + 78 \cdot 1,7 = 302,6 \text{ j.u.!!}$$

A teraz podsumujmy:

Podjąć (z Banku B i D)

$$178 + 302,6 = 480,6 \text{ j.u.}$$

Oddać (do Banku A i C):

$$180 + 187 = 367 \text{ j.u.}$$

Zostaje na czysto:

$$480,6 - 367 = 113,6 \text{ j.u.!$$

Oczywiście „na czysto” to przesada, coś przecież trzeba „odpalić” tym, którzy poręczali wzięcie kredytów, coś trzeba było wydać na koszty podróży, na prezenty etc. Ale mamy tu efekt zupełnie niewiarygodny: każde POŻYCZONE 100 dolarów (pożyczone naszym „biznesmenom”, a nie na odwrot!) przyniosło ponad 100 dolarów zysku!

Podaliśmy tu schemat z konieczności uproszczony. Można sobie ten schemat dowolnie urozmaicać, znajdować różne warianty, różne realizacje. Wiele ciekawych przykładów podali we wspomnianym wywiadzie Bagsik i Gąsiorowski. Wiele innych moglibyśmy opisać. Wszędzie jednak zastosowanie ma TEN SAM BANDYCKI MECHANIZM: łatwy dostęp do kredytu, lokata, kredyt na zachodzie, lokata w Polsce. W ten sposób Art-B złupiło nas, w czasie około roku, na pół MILIARDA DOLARÓW!

Wszystko to było możliwe dzięki dwóm zasadniczym elementom polityki finansowej Balcerowicza: (1) utrzymaniu, przy wysokiej inflacji, sztywnego kursu dolara przez okres prawie 3 lat i (2) nieograniczonymi możliwościami transferu dewiz. Natomiast, żeby móc skorzystać z tych możliwości, trzeba było mieć DOSTĘP DO INFORMACJI, np. trzeba było wiedzieć, że te elementy polityki finansowej państwa zostaną utrzymane w odpowiednio długim okresie czasu.

Dzisiaj były wicepremier i minister finansów Leszek Balcerowicz jeździ po świecie, m.in. do Ameryki i Kanady, i na zarządy, że utrzymywanie sztywnego kursu dolara spowodowało ogromny wpływ dewiz, odpowiada, że to jest „spiskowa wizja dziejów”, „bo nikt na świecie nie był w stanie PRZEWIDZIEĆ, że kurs dolara da się tak długo utrzymać”. Leszek Balcerowicz kłamie. W materiałach zdobytych przez śp. Michała Falzmanną znajduje się również i poufne memorandum rządu polskiego wraz z listem Leszka Balcerowicza i Grzegorza Wójtowicza do Prezesa Międzynarodowego Funduszu Walutowego Michela Camdessus, w którym gwarantują oni w imieniu rządu polskiego, że powyższe elementy polityki finansowej i monetarnej rządu polskiego będą utrzymywane do roku 1993! Pisma te posiadają sygnaturę MF-ZG/BMOF z marca 1991! Wynika z tego niezbicie, że pan Leszek Balcerowicz, który w żadne spiski nie wierzy, jest JASNOWIDZEM o takiej sile i pewności wyobraźni, że na tej podstawie jest w stanie podejmować dłuookresowe zobowiązania Państwa. Jeśli zaś nie jest jasnowidzem, jeśli to, co pisał do Michela Camdessus, było świadomym i celowym działaniem, to znaczy tyle, że Leszek Balcerowicz jest w pełni odpowiedzialny za ogromne straty finansowe, rzędu wielu miliardów dolarów, które Polska utraciła w wyniku jego polityki. Powinien więc stanąć przed sądem i ponieść karę stosownie do zakresu swojej odpowiedzialności. Tymczasem jednak tak się składa, że zarówno on sam, jak panowie Misiąg, Rosati, Wójtowicz itd. nadal chodzą w glorii autorów niebywałego cudu gospodarczego, jaki się Polsce przytrafił!

Kto mógł korzystać z tego mechanizmu?

Odpowiedź jest prosta: KAŻDY, KTO MIAŁ DOSTĘP DO INFORMACJI I KREDYTU. Bagsik i Gąsiorowski „przypadkowo” zaprzyjaźnili się z Grzegorzem Wójtowiczem, prezesem Narodowego Banku Polskiego, który sam o sobie mówi że jest (był?) „Waleśą bankowości polskiej”, ale poza tym wykazali sami wielką rzutkość i pomysłowość w wymyślaniu różnych „biznesplanów”. Nie pominęli też okazji, aby być w dobrych stosunkach nie tylko z „Waleśą bankowości”, ale i z samym Lechem Wałęsą, na którego kampanię wyborczą wyłożyli ogromne pieniądze. Wszystkie te ich „wyjątkowe zalety” pozwoliły im złupić nas na ok. pół miliarda dolarów.

Tymczasem FOZZ był takim zwielokrotnionym „Bagsikiem i Gąsiorowskim”. Posiadał on, naturalnie, dostęp do wszelkich tajemnic finansowych państwa, mógł sam zaciągać dowolne kredyty, ale przede wszystkim mógł „gwarantować” kredyty komu tylko chciał, mógł „pożyczać” dolary od wszelkich firm państwowych „pod zastaw” złotych budżetowych, co natychmiast dawało tym firmom możliwość „lokowania” pieniędzy itp., itd. Jeśli Bagsik i Gąsiorowski, dwaj młodzi chłopcy, mieli takie możliwości, to o ileż większe były możliwości FOZZ i jego „kontrahentów”?

Śledztwo Michała Falzmanny ujawniło, że FOZZ rzeczywiście w pełni z wszystkich tych możliwości korzystał. Sporządzony po Jego śmierci Raport Nawyjszej Izby Kontroli podaje liczne przykłady, z których wynika, że z możliwości stworzonych przez „politykę finansową” Balcerowicza-Sachsa, korzystano szeroko i na wielką skalę. Ponieważ jednak, jak to na wstępie zaznaczyliśmy, księgowości praktycznie nie prowadzono, odwrotnie – ślady operacji finansowych były starannie zacierane, nie można więc do dzisiaj ustalić w sposób w miarę precyzyjny, „komu”, „ile”, „gdzie” i „kiedy”.

Wiadomo natomiast dokładnie, gdzie należy szukać odpowiedzialnych za taki stan rzeczy! Wiadomo, że wszystkie nici zbiegają się w Ministerstwie Finansów Rzeczypospolitej. I na Ministerstwo Finansów, jako głównego odpowiedzialnego, wskazywaliśmy w naszym „powiadomieniu o przestępstwie”, które w dniu 2 czerwca 1991, razem z obszerną dokumentacją, złożyliśmy na biurku ministra sprawiedliwości i prokuratora generalnego RP. Żaden z kolejnych ministrów sprawiedliwości do dzisiaj nie ustosunkował się do

naszego powiadomienia, ówczesny minister finansów Leszek Balcerowicz nadal pozostaje ulubieńcem salonów finansowych świata, jego prawa ręka, minister Misiąg, nadal sprawuje swój urząd, a Dariusz Rosati jest nadal rozważany jako najpoważniejszy kandydat na miejsce Balcerowicza.

Jak to jest możliwe?

Jak to jest możliwe, że ujawnienie tak niesłychanie wydajnego mechanizmu rabunkowego, funkcjonującego przez lata pod czułym okiem Ministra Finansów (nie mówiąc już o innych służbach państwowych) nie pociągnęło za sobą żadnych widocznych publicznych konsekwencji w stosunku do ludzi odpowiedzialnych za finansy publiczne, za Skarb Państwa?

W naszej książce *Via bank i FOZZ* opisujemy, jak próbowaliśmy zaalarmować elitę polityczną Polski, która przejęła władzę i odpowiedzialność za losy Kraju po roku 1989. CAŁĄ ELITĘ POLITYCZNĄ, włącznie z Najwyższymi Autorytetami Kościoła katolickiego! Na nasze starania odzew był żaden. **Żadna partia polityczna, żaden związek zawodowy, ani jeden z polityków będących wówczas przy władzy starań naszych nie poparł, nie zaryzykował z swojej pensji czy posady, aby stanąć w OBRONIE POLSKI PRZED ZORGANIZOWANYM RABUNKIEM. Takie są fakty.**

Powinniśmy sobie zadać pytanie: dlaczego? Skąd taka jednolita postawa?

Niewątpliwie, trudno byłoby oczekiwać współpracy ze strony tych polityków, którzy w sprawę FOZZ byli zamieszani bezpośrednio i którzy byli albo konstruktorami mechanizmów rabunkowych, albo z tych mechanizmów czerpali profity. Ale reszta? Ale inni? Czy wystarczy na usprawiedliwienie ich tchórzostwa i beczynności obawa przed podzieleniem losu Waleriana Pańki i Michała Falzmanny? Czy tego się bali, czy też wystarczyła im obawa przed popadnięciem w niełaskę, utratą korzyści materialnych i politycznych, gdyby zaangażowali się w ujawnienie tej gigantycznej afery?

Elita polityczna zachowała się tak jak się zachowała: wybrała milczenie i zacieranie śladów przestępstwa. Ale MY? My wszyscy Polacy, których ograbiono w biały dzień i w blasku jupiterów? Trudno oczekiwać od pana Solorza, który robił interesy z Grzegorzem Żemkiem, że będzie udzielał swojej telewizji wyjaśnień w sprawie FOZZ; zrozumiałe jest to, że nie będzie tego nagłaśniała np. Rada Miejska Wrocławia, składająca się w 97% z ludzi, których kampanię wyborczą sponsorował Solorz! Itd., itp. Ale jak MY się zachowujemy? Za tę grabież przecież wszyscy płacimy, płacimy obniżającym się poziomem życia, bezustannymi podwyżkami wszelkich opłat, obniżaniem się płacy realnej, skracaniem średniej długości życia, ucieczką z Polski najzdolniejszej młodzieży? Na miłość Boską, pamiętajmy, że zarabowanie nam miliarda dolarów, to tak jakby najechało nas naraz 20 milionów kieszonkowców i każdy zarabował nam po milionie złotych, a więc przeszło połowę najniższej pensji! A my przecież mówimy o grabieży wielokrotnie przekraczającej miliard dolarów!

Stało się coś niebywałego i niezrozumiałego: wobec takiej skali rabunku Polacy zatkali sobie uszy i zamknęli oczy! Polacy, polska inteligencja nie chcą o niczym słyszeć i nie chcą niczego wiedzieć! Ludzi za ten rabunek odpowiedzialnych nadal przyjmuje, wita i wysłuchuje z honorami, nadal wybiera ich do swoich ciał przedstawicielskich, ludzie tacy jak profesor Balcerowicz (który, notabene, habilitował się i został profesorem, kiedy był urzędującym wicepremierem!) odwiedzają uniwersytety i z miedzianym czołem przemawiają do polskich akademików, chwając się swoimi niebywałymi osiągnięciami, a polska elita uniwersytecka wysłuchuje ich z nabożeństwem! Innego, takiego samego PROFESORA, Dariusza Rosatego proponuje się nadal na stanowisko wicepremiera i ministra finansów, a ich wspólnik Wojciech Misiąg nadal rządzi polskimi finansami, Grzegorz Wójtowicz puszy się przed kamerami, że był „Waleśą w banku”, a czasem nawet przemyska przez ekrany telewizorów, uśmiechając się zagadkowo, tajemniczy ZORRO, Grzegorz Żemek.

O Michale Tadeuszu Falzmannie, który od trzech lat leży w grobie, PONIEWAŻ BIŁ NA ALARM, nie chce pamiętać nikt. Pozostaje nam więc zadać sobie pytanie: **Czy Polacy mają jeszcze instynkt samozachowawczy?**

Jerzy Przystawa

Wrocław, 20 maja 1994

JAKA EUROPA?

Wywiad z Profesorem Helmutem Wagnerem

- **Panie Profesorze, za jaką wizję Europy Pan się opowiada? Za Europą scentralizowaną, rządzoną przez eurobiurokratów z Brukseli, czy też za Europą ojczyzn, zjednoczonych we wspólnej konfederacji, w której każdy naród miałby zagwarantowane zachowanie własnej tożsamości i kultury?**

Ani za jedną, ani za drugą. Scentralizowana Europa nie powstanie, gdyż nie pozwoli na to narody i rządy krajów europejskich. Może powstać tylko zdecentralizowana wspólnota europejska, w której każdy naród będzie miał udział w podejmowaniu decyzji. Nie widzę zatem możliwości stworzenia jednego scentralizowanego państwa europejskiego.

Z drugiej natomiast strony, wizja Europy ojczyzn gen. de Gaulle'a to konfederacja. Nie federacja, a konfederacja. W konfederacji każde państwo niezależnie od wielkości ma jeden głos. W tym typie ustroju politycznego decyzje podejmowane są jednogłośnie i weto jednego, nawet małego państwa może zablokować podjęcie konkretnej decyzji. Z tego też względu konfederacja nie jest systemem efektywnym i zwykle nie funkcjonuje zbyt długo. Stany Zjednoczone były konfederacją od 1776 do 1789 roku, a później przekształciły się w federację, w której wszystkie stany tworzą unię i wspólnie biorą udział w podejmowaniu decyzji. Decyzje wtedy zapadają większością głosów. Myślę, że federacja stanowi jedyną drogę dla Europy, która występowałaby jednym głosem na zewnątrz i w której poszczególni członkowie mieliby zagwarantowany udział w podejmowaniu decyzji. W tak zorganizowanej Europie małe narody miałyby zagwarantowane bezpieczeństwo. W systemie federacyjnym duże narody aby przeforsować jakąś decyzję, musiałyby przekonać większość i szukać kompromisu. W ten sposób silne i duże narody byłyby kontrolowane przez pozostałych. W takim systemie zatem żadne państwo nie mogłoby zdominować pozostałych.

Tak rozumiane systemy federacyjne funkcjonują w USA, Niemczech i Szwajcarii. W odniesieniu do USA pytanie: który stan, Kalifornia czy Nowy Jork, zdominował Amerykę, jest pozbawione sensu. Tak samo pozbawione jest sensu pytanie, który landtag w Niemczech: Bawaria czy Westfalia, zdominował państwo federacyjne. Warto zwrócić również uwagę, że w Szwajcarii 73% ludności mówi po niemiecku. Pomimo tego jednak inne mniejszości językowe: francuska i włoska, nie są zagrożone. W federacji bowiem silniejsi członkowie, aby przeforsować swój punkt widzenia, muszą przekonać doń pozostałych i czasami mogą zostać przegłosowani.

- **Mam jednak wątpliwości, czy model amerykański da się w pełni zaaplikować do Europy. Stany Zjednoczone Ameryki Północnej opierają się na wspólnym prawie pochodzącym z tradycji anglosaskiej oraz na języku angielskim i tradycji. Ponadto w ciągu dwustuletniej historii USA nastąpiło znaczne przesunięcie władzy z poziomu stanowego na poziom krajowy. Prezydent USA skupia w swoich rękach coraz to więcej i więcej kompetencji. Pytanie, kto – Kalifornia czy Nowy Jork – zdominował USA, jest faktycznie pozbawione sensu, gdyż życie społeczne i ekonomiczne tego kraju jest zdominowane przez rozrastającą się ponad miarę administrację waszyngtońską. Czy to może się zdarzyć również w Europie?**

Nie jest to konieczna droga rozwoju. Weźmy na przykład Szwajcarię. Tam poszczególne kantony mają nadal dużą autonomię i zdominowanie życia politycznego przez centrum nie nastąpiło. W przypadku Szwajcarii mogłyby wchodzić jeszcze inne dodatkowe czynniki: jest to kraj neutralny, trzymający się z dala od konfliktów międzynarodowych. Ale jeżeli spojrzymy na Niemcy, to okaże się, że Republika Weimarska była bardziej scentralizowanym krajem niż obecne Niemcy. Możliwe są zatem przesunięcia w drugą stronę. Wydaje mi się, że zależy to od woli i decyzji państw-członków federacji. Czy chcą oni, by więcej władzy posiadało centrum, czy więcej decyzji było w gestii poszczególnych państw federacyjnych.

- **A czy w tym przypadku nie zachodzi zjawisko samodynamiki władzy, które sprawia, że podmioty polityczne, aby nie wypaść z gry, nie tracąc w stosunku do konkurentów, skupiają w swoich rękach coraz to więcej, więcej kompetencji i wpływów?**

Można byłoby się z tym zgodzić, ale pod pewnymi warunkami. Jeżeli Europa jako całość zaangażowałaby się w politykę międzynarodową, wtedy konieczna stałaby się rozbudowa pewnych instytucji – wojska, służb dyplomatycznych itd. Ale obecnie nikt nie głosi potrzeby budowy imperium europejskiego i nie widzę takiego niebezpieczeństwa. Europa koncentruje się przede wszystkim na swoich sprawach wewnętrznych. W obecnej sytuacji Rosja jest zajęta swoimi sprawami. Ameryka skupia swoją uwagę na regionie Pacyfiku itd. Nie ma potrzeby, która powoływałaby do życia imperium europejskie lub zmuszałaby Europę do prowadzenia bardziej aktywnej polityki zagranicznej.

- **Jest obiegowa prawda, że systemy demokratyczne nie są doskonałe. Kontrola narodowych biurokracji często jest iluzoryczna. Czy nie obawia się Pan Profesor, że kontrola europejskiej biurokracji stanie się jeszcze bardziej iluzoryczna?**

Istotnie, trudno jest kontrolować urzędników w wielkich międzynarodowych organizacjach typu ONZ. Ale myślę, że federacja europejska stanowi inny przypadek. Federacja ma bowiem konstytucję zatwierdzoną przez wszystkich jej członków. Decyzje w parlamencie europejskim podejmowane są większością głosów i muszą być zatwierdzone przez gabinety poszczególnych krajów. Warto przypomnieć, że tylko niektóre decyzje są podejmowane na szczeblu ponadnarodowym, inne zaś są podejmowane na poziomie narodowym, a jeszcze inne na poziomie regionalnym. We wspólnocie są bowiem jakby trzy poziomy sprawowania władzy: regionalny, narodowy i europejski.

- **Czy federacja europejska jest koniecznością? Czy przed Europą nie stoi inna alternatywa?**

Myślę, że budowa federacji europejskiej jest w takim sensie koniecznością, że istnieją pewne problemy, w takich dziedzinach, jak np. wojskowość, polityka monetarna, ochrona środowiska, zaawansowane badania naukowe, z którymi żadne pojedyncze państwo nie jest w stanie samo sobie poradzić. Jest więc konieczne, aby w pewnych sferach poszczególne państwa połączyły swoje siły i wspólnie rozwiązały występujące tam problemy. Ale są też oczywiście zagadnienia, które z powodzeniem mogą pozostać w gestii państwa narodowego. Jest to jednak sprawa decyzji poszczególnych państw – członków wspólnoty. I w ten sposób federacja europejska będzie się różnić od federacji amerykańskiej, niemieckiej czy szwajcarskiej. Jednakże decyzja o kształcie federacji europejskiej musi zostać podjęta przez same państwa europejskie. Nikt za nich tego nie robi. W takim więc sensie federacja jest koniecznością gdyż rozwój cywilizacyjny stwarza takie problemy, które mogą być rozwiązane jedynie na poziomie międzynarodowym. Przykładem może być Wielka Brytania, która początkowo stroniła od zaangażowania się w budowę wspólnoty, a później się doń przyłączyła. Przyłączyła się, gdyż tego wymagał jej interes. Gdyby pozostała na uboczu, za wiele by straciła.

- **Przejdźmy może teraz do kwestii bardziej bieżących. Jaka będzie rola Niemiec w Europie? Czy Niemcy są w stanie zdominować Europę?**

Moja odpowiedź będzie taka. Jeżeli Europa pozostanie niesfederalizowana, to Niemcy siłą swego ciężenia, swojego potencjału ekonomicznego w naturalny sposób ją zdominują. Obecnie ONZ zajęta jest Afryką i krajami III świata, Rosja pochłonięta jest swoimi kłopotami, a USA zainteresowane są bardziej rejonem Pacyfiku niż Europa. Nie będzie więc nikogo, kto by miał interes w przeciwstawieniu się dążeniu Niemiec do dominacji. Świadczy o tym chociażby przemówienie Clintona, który mówił o odpowiedzialności Niemiec za rozwój i stabilność w Europie etc. Jeżeli natomiast powstanie federacja europejska, to naród niemiecki w sfederowanej Europie będzie liczył około 11% całej populacji. A 11% nigdy nie zdominuje pozostałych 89%. Ani w parlamencie, ani w komisjach europejskich, ani nigdzie. W sfederowanej Europie, Niemcy będą musiały się liczyć ze zdaniem większości. Jeżeli jednak federacja nie powstanie, to wtedy silniejsze państwa europejskie będą zawierać sojusze z USA czy z Rosją, z wyraźną szkodą dla interesów

słabszych państw. Ale to nie jest droga do prawdziwej federacji. W federacji bowiem to nie, Niemcy ale cała Europa są partnerem dla USA czy Rosji, tak jak Bawaria nie jest partnerem do rozmów z USA, ale federacyjny rząd niemiecki.

□ **A co z Europą Środkową? Czy w najbliższym czasie zostanie ona zintegrowana ze wspólnotą europejską?**

Bardzo lubię ideę Europy Środkowej. Przez dłuższy czas Europa Środkowa z powodu różnic językowych, tradycji i złego położenia między Rosją a Niemcami nie była w stanie wytworzyć spójnego organizmu. Dlatego też nie widzę możliwości przyłączenia Europy Środkowej jako jednego organizmu do EWG. Ale to, co się może nie udać z Europą Środkową, jako całością, może się udać z poszczególnymi krajami tego regionu: Polską, Węgrami, Czechami i Słowacją.

Wówczas centralne położenie krajów tego regionu, które zawsze było przeszkodą w osiągnięciu stabilizacji politycznej, może stać się wielką szansą. Centralne położenie zawsze przynosi jakieś korzyści w porównaniu z położeniem peryferyjnym. Przez Europę Centralną przebiegać będą bowiem szlaki komunikacyjne i handlowe. To zaś winno jej dać duże korzyści.

□ **Dziękuję za rozmowę i życzę sukcesów w pracy zawodowej.**

*Rozmowę przeprowadził i przetłumaczył
Krzysztof Brzechczyn*

Helmut Wagner jest profesorem filozofii politycznej we Freie Universität Berlin.

ROSJA. TAJNE PIENIĄDZE NIEWIDZIALNEJ GOSPODARKI

Siedemdziesiąt miliardów dolarów zostało w latach 1987-1991 nielegalnie umieszczone na Zachodzie przez aparatchyków Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego. „Niewidzialna gospodarka” wprowadzona przez Andropowa w celu przedłużenia życia międzynarodowego komunizmu coraz bardziej rozkwita. Przy udziale mafii.

Podmuch niepokoju, żeby nie powiedzieć paniki, przeniknął jesienią 1991 roku wyżyny międzynarodowej finansjery. Otoczenie Michaiła Gorbaczowa – jeszcze przy władzy, ale chwiejącego się już na swym tronie – upewniło się, że zasoby złota Państwa spadły do wartości piętnastu miliardów dolarów w 1987 roku, a blisko do zera we wrześniu 1991 roku. Maszyna rotacyjna obracała się gładko: wypuściwszy w sierpniu tyle rubli – powiedzmy 19 miliardów – co w ciągu całego roku 1990.

Przy czym Gorbaczow dodatkowo zażądał trzydziestu miliardów, żeby pokryć deficyt budżetowy. Zewnętrzny dług sowiecki zwiększył się więc od 30 miliardów dolarów, gdy Gorbaczow doszedł do władzy, do wartości przeszło dwukrotnie większej. Około 75% tego długu ciążyło na bankach europejskich, w tym 10% na Francji, zaraz po Niemczech (36%), podczas gdy kapitały rosyjskie uciekały za granicę.

Ledwo wspomnę o „rewelacjach” pochodzących z archiwum Kremla, w rzeczywistości z KGB: zgodnie z nimi Moskwa rozprzeczyla bezwstydnie dziesiątki milionów dolarów wśród „zagranicznych przyjaciół”, to znaczy wśród partii komunistycznych, które kontynuowały na świecie propagandę „kroczącej Rewolucji”. Rewolucji odsuniętej jednak na bok (jak się wydaje) w Europie ogłuszonej jeszcze przez upadek muru berlińskiego.

Sekrety planu Andropowa

Lawina liczb dotyczących sum przekazanych zagranicznym partiom komunistycznym przytłoczyła swoim hałasem całkiem inną aferę: dziwaczne krążenie ministrów, dyplomatów, a nawet dziennikarzy sowieckich dźwigających walizy wypchane dolarami lub innymi mocnymi walutami, które miało miejsce latem 1991 roku pomiędzy ZSRR a licznymi stolicami zachodnimi. Nie miało to nic wspólnego ze znanymi powiązaniem pomiędzy Moskwą i wykonawcami jej poleceń w naszych krajach.

Jak nam powiedziała pewna rosyjska osobistość świeżo wygnana na Zachód: „Plan Andropowa jest w pełnym rozwoju. I to osiem lat po śmierci stratega, który miał mocne przeświadczenie, że komunizm musi przyjąć inną postać i pokazać inną twarz, jeżeli chce »obejść« swoje bankructwo. Gorbaczow jest uczniem Andropowa, ale on tę sprawę przegrał. Inni więc, oczywiście poza wiedzą Jelcyna, wbili się w garnitury i wsiadają do zachodniego pociągu, by ten proces kontrolować”.

Czy to dezinformacja? Można postawić takie pytanie, lecz pewien człowiek w Pradze, który był przez dziesięć lat ministrem bezpieczeństwa, zanim jego bracia komuniści wsadzili go do więzienia i torturowali aż do całkowitego zniszczenia jego zdrowia, zdradził mi (nieco później) plan operacji Andropowa.

„Na długo przed 1989 KGB w zмовie z pewną frakcją aparatu Komitetu Centralnego utworzyło tajny ośrodek o trzech gałęziach: informacja (szpiegostwo), działanie fizyczne oraz tajne sieci

w republikach ZSRR, w Europie Centralnej i bez wątpienia również gdzie indziej. Aparat ten miał włączać się do akcji i to ze znacznymi środkami finansowymi tylko wówczas, gdy będzie dochodziło do rozpadu imperium sowieckiego. Wszystko to obecnie waha się trochę, ponieważ nieudany pucz z sierpnia 1991 i parcie Jelcyna, aby wyeliminować Gorbaczowa, stwarza poważne problemy dla ośrodka, który ma różnych szefów, ale nie ma wielkiego przywódcy. W każdym razie wielkie rosyjskie mafie uczestniczą w operacjach tego ośrodka jako instrument, a nie jako prawdziwy partner”.

Powiecie? Obliczenia i przypuszczenia specjalistów? W Moskwie, kiedy zapytywano prokuratorów, dlaczego nie ścigali tych, którzy, jak powszechnie wiadomo, uczestniczyli w ucieczce kapitałów na Zachód, otrzymywano jednobrzmiącą odpowiedź tak przed puczem, w czasie puczu i po puczu: gdyby chodziło tu o sprzeniewierzenie funduszy dla korzyści osobistych, a więc tylko o przestępstwo pospolite, wszystko byłoby proste. Ale to zupełnie nie ten przypadek...

Klucz do tajemnicy ujawniła 7 października 1991 roku „Komsomolskaja Prawda”, jednak media o wielkim nakładzie zlekceważyły to. Zostało to potwierdzone w 1992 roku w pracy Lwa Timofiejewa, ekonomisty, uniwersyteckiego uczonego i antykomunisty, który po strasznych kłopotach, po puczu z sierpnia 1991 roku wyjechał z Moskwy i schronił się w Stanach Zjednoczonych. Tam media wciąż zaciemniają i tuszują jego wskazówki i wnioski, tak przecież ściśle i jasne.

Okólnik z 23 sierpnia 1990 roku

Nie chodzi tu o pieniądze wręczone obcym partiom komunistycznym, lecz o dokument będący w posiadaniu Sergiusza Aristowa i Władimira Dimitriewa, dwóch śledczych z prokuratury moskiewskiej, wielokrotnie cytowanych w rosyjskiej prasie w lecie 1992 roku, lecz odtąd „zapomnianych”. Chodzi o tajny okólnik z datą 23 sierpnia 1990 roku. Data została wybrana przez jego autorów tak, jakby chcieli oni na swój sposób uczcić dzień 23 sierpnia 1939 roku, w którym podpisano pakt niemiecki-sowiecki, wielki sojusz euroazjatycki pomiędzy totalitaryzmami bliźniaczymi co do ideologii i metod. Liczni politycy rosyjscy prezentują do dzisiaj te same „prozachodnie” dążenia, co pół wieku temu.

Okólnik ten zrodził się ze współpracy pomiędzy dziesiątkiem zwolenników Andropowa wywodzących się z „organów administracyjnych” (departament utworzony przy sowieckim ex-Politbiuro z wewnętrznej kontroli dotyczącej tajnych służb cywilnych i wojskowych) i wyższej kadry aparatu komunistycznego. W ich gronie figuruje Igor Ligaczow, w 1990 roku Numer Dwa w Partii za Gorbaczowem oraz A. Łukianow, alter ego Gorbaczowa od czasu jego studiów uniwersyteckich (za czasów Stalina). Jeden i drugi byli dwoma ostatnimi dyrektorami organów administracyjnych. Łukianow był zresztą puczystą, a co najmniej mózgiem puczu w czasie jego organizowania w lecie 1991 roku.

Okólnik jest zatytułowany: *Na temat nadzwyczajnych środków w celu organizowania działalności handlowej Partii w kraju i za granicą* — tłumaczenie nie dosłowne, lecz wierne, mające uwolnić czytelników od zwrotów osławionego „języka nowomowy”.

Okólnik ów konkretyzuje dopracowanie operacji, którą rozpoczęto w 1987 roku. Przewidziano, że Sekretarz zapewni ciągłość prac

polegających na „tworzeniu struktur ekonomicznych, począwszy od fundacji, stowarzyszeń firm itd., mających na celu realizację tajnej ekonomii Partii”.

„Następnie trzeba powołać tu i za granicą anonimowe organizacje skrywające związki z Partią w swojej działalności handlowej, biorąc pod uwagę możliwości, które dają joint ventures, międzynarodowe konsorcja itp.”.

Okólnik nakazuje „pilne utworzenie banku kontrolowanego przez Komitet Centralny, z prawem do przeprowadzania operacji dewizowych oraz do inwestowania dewiz w międzynarodowych firmach kontrolowanych przez przyjaciół Partii Komunistycznej”. Podkreślono, że chodzi przede wszystkim o operację tajną. Zresztą dołączony dokument nr 18/6220/91 zawiera formularz przystąpienia przeznaczony dla każdego wtajemniczonego: „Ja niżej podpisany..., członek Partii Komunistycznej od..., legitymacja nr..., zdecydowałem się po namyśle, dobrowolnie stać się agentem Partii, wypełniać obowiązki, które wyznaczy mi Partia, przyjmując każde zadanie w każdych okolicznościach, bez ujawniania mojej przynależności do tej grupy. Przyrzekam strzec i ostrożnie wykorzystywać w interesie Partii otrzymane środki finansowe i materialne i zwrócić je na żądanie...”. Poznawszy ten dokument, można łatwo zrozumieć to, co się działo w czasie miesięcy letnich 1991 roku, a także przedtem i potem.

Okólnik ten oraz dokumenty odkryte przez prokuraturę moskiewską zaraz po upadku puczu tłumaczą dziwne intrygi, a przede wszystkim matactwa charakteryzujące otoczenie Borysa Jelcyna. Wtajemniczeni z Komunistycznej Partii ZSRS – którą aktualny prezydent zechciał zdelegalizować (czemu z kolei sprzeciwił się Trybunał Konstytucyjny w październiku 1992 roku) – nie są amatorami. Metody konspiracyjne (termin używany od siedemdziesięciu lat w tajnych notach Partii Komunistycznej i KGB) są dla nich drugą naturą, ponieważ chodzi tu o przeżycie, jeżeli nawet nie komunizmu, to w każdym razie jego aparatu.

W swej książce *72 godziny agonii*, opublikowanej w języku francuskim przez wydawnictwo Copart, Jurij Lejkow, mer Moskwy, przedstawia wyciąg z tajnych dokumentów KGB potwierdzających strategię Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego: „Natychmiast rozpocząć należyte przygotowanie propozycji wykorzystania anonimowych towarzyszy akcyjnych zdolnych do ukrycia swoich bezpośrednich związków z partią komunistyczną w celu rozwinięcia działalności handlowej partii na rynkach zagranicznych. W szczególności zbadać możliwość przyłączenia się do przedsięwzięć mieszanych i istniejących konsorcjów międzynarodowych przez udział kapitałowy”.

Dokumenty, które zabijają

W tej atmosferze nie powinno dziwić, iż istnieją dokumenty, które zabijają, gdy śledczy podejmują ryzyko zdemaskowania operacji również szerokiej jak ta, o której mówimy – tajnego związku w łonie Partii i jego oczywiście również tajnych rozgałęzieniach w łonie „bratnich Partii Komunistycznych”. Albowiem okólnik podkreśla wyraźnie w jednym ze swoich paragrafów, że będą miały miejsce „konsultacje” służące podtrzymaniu współpracy ekonomicznej w wypadku wycofania sił sowieckich z Czechosłowacji, Węgier i Wschodnich Niemiec, a co z tego wynika, „będą tworzone firmy konsultingowe w formie legalnych przedsięwzięć, bez bezpośrednich związków z aparatem”.

Cóż się bowiem dzieje, gdy śledczy Prokuratury rosyjskiej kierują swe zainteresowanie na podejrzanych o spisek? Na Zachodzie zapominano o tym zbyt szybko. Borys Pugo, minister spraw wewnętrznych w 1991 roku, popełnia samobójstwo dokładnie w chwili gdy przychodzą go aresztować. Dwa dni później marszałek Achromiejew, wielka figura sztabu generalnego ZSRR i jego zaplecza militarno-przemysłowego, wiesz się w swoim biurze przed przybyciem śledczych. 26 sierpnia 1991 roku śledczy chcieli widzieć Mikołaja Kruczina, zaufanego Gorbaczowa (mianowanego przez tego ostatniego w 1983 roku głównym skarbnikiem Partii i wprowadzonego w 1986 roku do sekretariatu przy politbiurze)... Kruczina wyskoczył z okna... Szóstego października 1991 chcieli oni również przesłuchać jego poprzednika, skarbnika Partii od 1971 do 1983 roku G. Pawłowa – lecz on również wyskoczył przez okno swego apartamentu bezpośrednio przed spotkaniem... Decydują się oni na przesłuchanie G. Lisowolika, który był jednym z pomocników

Walentyna Falina w dyrekcji Departamentu dla działań zagranicznych aparatu komunistycznego, a więc był zorientowany w sumach przekazywanych pokątnie tu i ówdzie nie tylko dla zagranicznych Partii Komunistycznych, lecz również żeby ustalić podstawy i struktury „niewidzialnej ekonomii”. Było to w początku listopada 1991 roku. Również Lisowolika znaleziono martwego w jego mieszkaniu.

Walery Okuniew miał bez wątpienia rację, pisząc w styczniu 1992 roku w „Wiadomościach Moskiewskich”: „Partia Komunistyczna została zdelegalizowana w aparacie państwowym, w armii, w służbach bezpieczeństwa, lecz postępowanie to dotknęło tylko wierzchołka góry lodowej(...). Część ukryta, system pionowych powiązań nomenklatury pozostał w skali kraju nietknięty”. O tyle nietknięty, że wszystkie decyzje Borysa Jelcyna były stopniowo hamowane, nie wykonywane lub sabotowane w niewidzialnym sektorze, czyli aparacie, który stracił wielu swoich szefów, zachowując mimo to swoje struktury.

70 miliardów dolarów, które przeniosły się na Zachód

Pieniądze przeznaczone na „niewidzialną ekonomię” nie zostały przesłane za granicę w jednym rzucie. Rosyjscy obserwatorzy – którzy coraz bardziej milkli od 1993, ponieważ nie chodzi tu, podkreślmy to raz jeszcze, o operowy spisek – oceniają, że pomiędzy 1987 rokiem a końcem roku 1991 więcej niż 70 miliardów dolarów (czyli ekwiwalent długu zagranicznego Rosji) zostało nielegalnie wywiezione na Zachód i umieszczone w różnych krajach. Mianowicie w Szwajcarii, Hiszpanii, Grecji, Francji, na Karaibach, w Indiach i Ameryce Południowej. Transferów dokonywano w dolarach, platynie, złocie i metalach szlachetnych.

Równolegle w Rosji i republikach postsowieckich pojawiło się przed 1992 rokiem około 600 specjalnych firm, jak również tuzin banków, których lista oczywiście nie została odnaleziona (na około 1800 wówczas istniejących). To wszystko było całkowicie kontrolowane przez wtajemniczonych z Centrum. Jedynie dzięki 80% dokumentów (5000 nagrań, not, syntez i korespondencji), będących w posiadaniu prokuratury, ślady te zostały odkryte. **Niepewność polityczna, strach, przeszkody prawne, organizowane w imię „demokracji” przez tych, którzy wczoraj służyli totalitaryzmowi, są w danej chwili odpowiedzialne za spowolnienie poszukiwań.**

Pomiędzy dokumentami ilustrującymi to tamtych wydarzeń znajduje się na przykład korespondencja „prywatna” pomiędzy Gorbaczowem (a więc numer jeden w Partii i w państwie) a Walentynem Falinem (który dziś woli żyć w Hamburgu pod opieką swoich przyjaciół Egona Bahra i H.D. Genschera). W listach tych jeden z nich prosił drugiego o „pobranie z budżetu państwa... wielu milionów dolarów... dla zaprzyjaźnionych przedsiębiorstw” (26 kwietnia 1990 roku).

Kiedy w kwietniu 1992 Falin stanął przed komisją śledczą (później przerwała ona swoją pracę), bronił się on argumentem, że „popełnił błędy” w zarządzaniu funduszami swego departamentu. Wyjaśnił on mianowicie, że odkąd miał do dyspozycji raczej fundusze państwowe niż partyjne, „wyrównywał” (sic!) te transfery w twardych walutach i że czynił tak, ponieważ inni w związkach zawodowych, w Komsomole, w Akademii Nauk postępowali podobnie w tych samych okolicznościach. Jest to zawołowane przyznanie się. Żadnych nazwisk.

Na krótko przed puczem, na początku lata 1991 Gorbaczow polecił Gieraczenec, dyrektorowi Gosbanku (pozostającemu do dziś na tym stanowisku) „wyemitowanie 200 miliardów rubli i umieszczenie 52 miliardów z nich na tajnym koncie”. Któż wie w imię czego i w jakim celu? Był to moment, w którym przy pomocy manipulacji dokumentami finansowymi wysyłanymi do licznych banków zachodnioeuropejskich, minister finansów, w tamtym czasie W. Orłow, otwierał tajne konta.

Ruble transferowe – powiada on – dajemy do dyspozycji tym, którzy chcieli je wykorzystywać w przedsięwzięciach handlowych. W tym samym momencie, dawny naczelny redaktor „Prawdy” umieściła wiele milionów dolarów w pewnym banku w Düsseldorfie. Depozyty te pęcznią tu i ówdzie na dwóch tysiącach tajnych

„indywidualnych” kont Rosjan na Cyprze. Dlaczego Cypr, i to część grecka? Ponieważ od czasu panowania Andropowa Rosjanie nie potrzebują wizy, żeby tam się udać.

Już w 1992 roku prokuratura rosyjska jest w tym zorientowana, ale zdemaskowani „przewoźnicy” – włączając w to grupy wielkiej rosyjskiej mafii – zapewniają, że chodziło im i chodzi „o dobro partii”. Tak jak Rosjanin, który w kwietniu 1993 roku wylądował na Cyprze i zdeponował w „swoim” banku 3 miliony dolarów.

Wedle federalnego radcy szwajcarskiego Jeana Zieglera, w małym stopniu podejrzanego o antysowietyzm, Bank Uzbekistanu wytransferował w 1991 roku via Bułgaria, zgodnie z prawem bankowym ZSRR, swoje zasoby złota. Europejskie Centrum Informacji prowadziło śledztwo w sprawie transferu z roku 1992, gdy samolot firmy Seabeco przewiózł 1,6 tony złota z Kirgizji do Zurichu, gdzie zajęła się nim spółka Metalor. W tym samym roku generalny prokurator Rosji przedstawił szwajcarskim władzom listę podejrzanych kont. Nie było w tej sprawie więcej pytań. Ale Borys Jelcyń osobiście skorzystał z pobytu w Hiszpanii aby „odzyskać” na rzecz Państwa kilkaset milionów dolarów, które znalazły się nielegalnie w rejonie Barcelony i Madrytu.

Uczestnictwo mafii

Mafie rosyjskie uczestniczą w tej grze transferów z prostej przyczyny, że przeniknęły one (za czasów Breżniewa) aż do Politbiura i do wszystkich struktur administracyjnych i ekonomicznych post-sowieckiej Rosji. Generał Anatolij Olejnikow, pełnomocnik MSW do spraw walki z przestępczością, zapewniał ostatniej wiosny (1993), że mafie „dysponują w bankach zachodnich 25 miliardami dolarów, z których miliard został skradziony w bankach rosyjskich”.

Pewne rosyjskie grupy mafijne – podzieliły one między sobą „zadania” i geograficzne strefy wpływów, podobnie jak niektórzy dzielą pomiędzy siebie chodniki naszych ulic – służą tej „niewidzialnej ekonomii”, która zżera państwo dla osobistej korzyści, korzyści aparatu komunistycznego, którego wysokie osobistości są związane z dwudziestką „ojców chrzestnych” (wśród 150 innych) zorganizowanych w „bractwa”.

Powszechnie wiadomo, że Gajdar Alijew, członek Politbiura Gorbaczowa od 1986 do 1991 roku, aktualnie przywódca Azer-

bejdżanu, były generał KGB, kontroluje wraz z rodziną przynajmniej od trzech dziesięcioleci rynek bawełny i ropy w muzułmańskiej Azji i ma udziały w dochodach ze wszystkich zawieranych „interesów”.

Inni, przerażeni upadkiem puczu, zostali z wielkiej łaski przyjęci do niewidzialnego aparatu. I tak sekretarz odpowiedzialny za kadry dla Politbiura został powołany na konsula w Szanghaju, inny, pierwszy sekretarz Komunistycznej Partii Mołdawii został wysłany do Meksyku, sekretarz zaś Komunistycznej Partii Armenii wybrał słońce Casablanki.

Agencja prywatnych detektywów Kroll, która na polecenie Borysa Jelcyna starała się rozpoznać i uchwycić ucieczkę kapitałów w czasie ostatnich lat, odkryła na Zachodzie liczne inwestycje w nieruchomości, hotelarstwo, budowlę, galerie sztuki oraz żeglugę. Kapitały te przychodziły z ZSRR, a następnie z Rosji w ciągu ostatnich sześciu, siedmiu lat, ale przede wszystkim między 1990 a 1993 rokiem.

Źródła „polityczne” mieszały się często ze strukturami i interesami mafijnymi, nie wspominając o użyciu tu i ówdzie zaminowanych obszarów przez nowe rosyjskie tajne służby.

Miliard dolarów wycieka średnio każdego miesiąca z Rosji na Zachód. Nielegalnie! Natomiast według „Financial Times” 19 miliardów „jest uśpione” na kontach w zagranicznych bankach, zamiast być reinwestowane w Rosji.

Nie można nie stawiać sobie poważnych pytań, gdy w dwunastu (na piętnaście) byłych republikach ZSRR, jak też w licznych państwach ex-satelickich komuniści pozostali przy władzy lub do niej wracają. Czyż nie są oni zasłoną tajnego aparatu i niewidzialnej ekonomii, przewidzianą w 1990 roku, a więc zasłoną prawdziwych władców przeznaczonych do stopniowego wyjścia z cienia? Pewien Amerykanin napisał ostatnio, że włoski komunizm nie jest już groźny, ponieważ jego wielcy przywódcy ubierają się u Armaniego i jeżdżą alfa romeo! To rozumowanie ma krótkie nogi. Nowoczesny komunizm, który planował i o którym mówił w 1982 roku Andropow ma być właśnie taki. Czy gdyby Hitler wrócił do władzy pałac cygara, ubierając się u Armaniego i odwiedzając Gucciego – uznano by go za „naszego”?

Pierre de Villemarest

DEKOMUNIZACJA PO CZESKU

Wywiad z byłym wiceministrem spraw wewnętrznych Republiki Czeskiej – Petruską Sustrovą

□ Jakie funkcje pełniła Pani w czeskiej opozycji i rządzie?

Byłam sygnatariuszem Karty 77, przez pewien czas byłam również jej rzecznikiem. Natomiast w rządzie czeskim przez ponad pół roku pełniłam funkcję wiceministra spraw wewnętrznych.

□ W jaki sposób została przeprowadzona lustracja i dekomunizacja w Czechach?

Została uchwalona ustawa dekomunizacyjna. Uzasadnieniem tej ustawy nie były względy ideowe czy moralne: kto był winien, a kto nie, ale kwestie związane z bezpieczeństwem państwa.

Ustawa dekomunizacyjna stanowi, że w okresie pięciu lat określone w tym akcie prawnym osoby nie mogą pełnić pewnych wyszczególnionych stanowisk w administracji państwowej. Osoby, które zostały objęte procedurą dekomunizacyjną, były w przeszłości oficerami StB, Agentami StB, tzn. rejestrowani jako agenci, członkami milicji ludowej (nie była to normalna, jak w Polsce, milicja, ale uzbrojona część partii), aparatchycy partii komunistycznej, którzy mieli styczność w swojej pracy ze służbami specjalnymi oraz członkowie nomenklatury komunistycznej.

□ Kiedy w Polsce próbowano przeprowadzić lustrację, jej przeciwnicy twierdzili, że wiele akt SB zostało sfałszowanych bądź spreparowanych, wiele teczek zostało zniszczonych, w związku z tym nie można lustracji w sposób cywilizowany przeprowadzić. Czy Pani spotkała się z przypadkiem fałszowania akt StB?

Nie, oczywiście nie. Wynikało to z tego, że wszystkie komunistyczne służby specjalne funkcjonowały w podobny do siebie sposób.

I trudno się temu dziwić. Jeżeli np. na takim sympozjum jak nasze byłby tajny agent, to jego sprawozdanie powędrowałoby do teczek wszystkich osób objętych inwigilacją, które były obecne na tym spotkaniu. Agent taki pozostawia więc wielokrotny ślad, którego wytarcie, zmazanie jest praktycznie niemożliwe. Moi koledzy z MSW mówili mi, że wiedzą o dwóch przypadkach, kiedy sfałszowano zapis w rejestrze teczek. Ale było to możliwe do wykrycia na podstawie samej tylko zawartości archiwum StB. Natomiast nie spotkałam się z ani jednym przypadkiem całkowitego spreparowania czyichś teczek i będących w nich materiałów.

□ Jakie znaczenie dla sytuacji wewnętrznej Czech miało przeprowadzenie lustracji?

Przed wszystkim lustracja eliminowała osoby, które mogłyby być narażone na szantaż. Lustracja miała więc znaczenie głównie dla bezpieczeństwa państwa. Mniejsze znaczenie lustracja miała dla zredukowania wpływów partii postkomunistycznej, gdyż komuniści od pewnych stanowisk i tak nie mogli być werbowani. Myślę jednak, że lustracja była bardziej skutkiem nastrojów społecznych niż ich przyczyną. Większość gazet, większość prasy – zdecydowanie opowiadała się za lustracją, a gazety czy środowiska, które były przeciwnie, były w zdecydowanej mniejszości i to – wola społeczna bardziej niż jakiekolwiek akty prawne, zadecydowała o takiej, a nie, innej sytuacji politycznej.

□ Dziękuję za rozmowę i życzę sukcesów

Rozmawiał Krzysztof Brzechczyn

SOLIDARYZM SPOŁECZNY W OKRESIE PRZEŁOMU*

W przeświadczeniu przedstawicieli psychologii humanistycznej wyposażenie człowieka w specyficznie ludzką siłę jest dla jego życia psychicznego podstawowe, jest fundamentem jego rozwoju. Siła ta byłaby osobnym, pozakulturowym potencjałem jednostki ludzkiej. Jest to zgodne z fundamentalną zasadą, że to wyłącznie jednostka ma określać treść swych działań i dokonań, to ona wyznacza zakres swej autonomii. Wolno więc powiedzieć, że psychologia humanistyczna deprecjonuje wartości uniwersalne, globalne, na rzecz bardziej jednostkowych, konkretnych. To konkretne, osobiste doświadczenie danej osoby jest podstawowym substratem, z którego buduje się osobę ludzką. Taka perspektywa wymaga omówienia w związku z ostatnio powtarzaną w polityce i życiu gospodarczym tezą, że los człowieka jest całkowicie w jego rękach. Takie ujęcie problematyki rozwoju człowieka wymaga szczegółowego rozważenia – w związku z podważaniem uniwersalnych funkcji wcześniejszego (do roku 1989) państwa socjalistycznego, można sądzić, że obserwowana deuniwersalizacja życia odpowiada zasadom psychologii humanistycznej jako teorii rozwoju człowieka. Wydaje się, że w tej dziedzinie – przypomnijmy tu, że psychologia humanistyczna jest nie tylko doktryną, jest też mocno związana z życiem – nie dokonano odpowiedniego porównania i analiz. Nie można na przykład twierdzić, że względnie irrelewantne są problematyki: psychologii humanistycznej i nowego (po 1989 roku) zarządzania społeczeństwem.

Często w wyjaśnieniach podłoża współczesnych przemian społeczno-politycznych stawia się tezy współbrzące z programem odwrócenia się od globalnych założeń społeczeństwa solidarnego, które w Polsce w najwyraźniejszy sposób było konstruowane przez kilkunastomilionową, wiejską i miejską Solidarność. Założenia społeczeństwa solidarnego można odtworzyć z całego procesu okresu najautentyczniejszej, podziemnej Solidarności. Od roku 1989 obserwuje się odwrót od myśli uniwersalistycznej na rzecz doktryny autonomizacji, przedsiębiorczości i likwidacji powinności względem drugiego. Taka doktryna ma na celu usprawiedliwienie nowego frontu działań wobec jednostki, którą do pewnego stopnia zostawia się samej sobie, można więc sądzić, że idzie tu o położenie nacisku na samorozwój. Jeżeli się wykorzenia pogląd, że jednostka ma powinności względem drugiego, wówczas zaburza się wielkoskalowe korelacje społeczne. Wielkoskalowe korelacje społeczne pozostawałyby w zgodzie z doktryną głoszoną przed rokiem 1989 o wspólnej pracy, wspólnym interesie, wspólnej odpowiedzialności i jednakowym poziomie życia. Zerwanie tych więzi dalekiego zasięgu obserwowane jest w nawoływaniu do troszczenia się tylko o siebie, bez oglądania się na swą społeczną misję.

Nowa doktryna twierdzi, że w istocie społecznego bytu nie ma korelacji dalekiego zasięgu, że pogląd taki, owszem, był w przeszłości rozpoznawany przez media i ośrodki opiniotwórcze, lecz trzeba go uznać – od strony teoretycznej – za pogląd błędny, związany z systemem komunistycznym: nowa doktryna więc ogłasza, że teraz należy przyjąć, iż jest tylko jednostka i ona się ma starać o siebie. Widoczne jest stanowisko, reprezentowane na przykład przez publicystę J. Majcherkę¹, że rozwarstwienie ekonomiczne jest normalne. Oto z jednej strony ulice pełne są luksusowych samochodów, z drugiej zaś w okresie po roku 1989 sytuacja rencistów i emerytów nie stała się przedmiotem troski mediów lub rządu, i obraz ten nie powinien nikogo razić. Skoro zrywa się z tezą o opiekuńczej roli państwa, skoro odrzuca się ekonomiczne podstawy systemu globalistycznego dystrybuowania wypracowanych wspólnie dóbr, to powstaje palące zagadnienie, czy przypadkiem obecnie do głosu nie dochodzi rozsądek sterowany zasadami psychologii indywidualistycznej, tej, która odwołuje się do wewnętrznej siły jednostki, wszystkie zaś inne urządzenia społeczne oskarża o Hegłowski uniwersalizm, naruszający królestwo wolności, ludzkich potrzeb, nieusuwalnego instynktu realizacji życia i bycia sobą.

Nowe media – składają często nazywane błędnie solidarnościowymi – raczej były skłonne w ostatnich latach głosić pochwałę bogacenia się nielicznych, wyalienowanych ze społecznego trudu, ze zbiorowego wysiłku dbania o całość i z pokornej cierpliwości, zamiast wykazywać słuszną (w optyce solidarnościowej) troskę o wielomilionowe społeczeństwo. W wielkiej przybojowej fali powszechnej zgody, że oto nadchodzi epoka prawdziwie zakorzeniona w rzeczywistości, nie było prawie wyjątków, które domagałyby się

usunięcia lub przynajmniej rewizji ogłoszonego postępu w deklaracji roku 1989. Można wręcz mówić o entuzjazmie ludzkiej gromady. Jednak tu i ówdzie w szybkim tempie kielkowały nieśmiało i nigdzie nie publikowane podejrzenia, iż nowy porządek nie ma swych wielkich korzeni w rzeczywistym łańdź, na poziomie ontycznym. Na szczęście rozum społeczny nie musi powtarzać tego, co mu powiedziano na temat, czym jest współczesna historyczna przemiana, i dysponuje on swoimi metodami rozszyfrowywania nawet najstaranniej zakonspirowanej obecności. Raziła też dysproporcja między nie chronionymi masami a chronionymi spekulantami, w mediach – które wypracowują nowomowę – przezwanymi (wbrew powszechnej zgodzie) biznesmenami. Atoli nie trzeba ukrywać, że społeczeństwo nawet najbardziej spektakularne osiągnięcia finansowe warstwy biznesmenów i ze szczególną życzliwością komentowane w środkach masowego przekazu miało za działania nielegalne, półlegalne, spekulacyjne, antyuniwersalistyczne, patologiczne, typowe dla przedsięwzięć podejmowanych przez margines społeczny, zwłaszcza pospolitych handlarzyków i złodziejaszków, którzy stawiają przede wszystkim na unikatowość własnego życia, realizację własnych odczuć i potrzeb.

Można wskazać szereg przykładów, że stan społecznych nastrojów, wszechpotężną prasą społeczeństwu przypisywany, miał się ze stanem faktycznym. Odwrót od solidarnościowego rozumienia spekulacyjnego, a także odebranie sensu istnienia narodu jako warunku rozwoju człowieka społeczeństwo przyjęło z trwogą. Zawołania „ratuj się kto może”, „jak sobie pościelesz, tak się wypiszesz” przyjęto z zażenowaniem. Zażenowanie to wyrażało się na wiele sposobów. I tak podczas wyborów samorządowych we Wrocławiu plakaty liberalnego (w sensie doktryny ekonomicznej realizowanej od roku 1989) Komitetu Wrocław 2000, z wydrukowanym wielkim napisem „Wrocław 2000”, ludność Wrocławia, zapewne w proteście przeciwko rozgłaszanej nieprawdzie, po prostu znieszczała, dopisując krótko, acz dosadnie wyraz „dla” – w ten sposób, zupełnie pewnym i wykształconym głosem zwykłego ludu ujawniono, że prawdziwym celem tych przemian są przekształcenia oligarchiczne, nie zaś uniwersalne, tzn. obliczone dla całych 37 milionów. Z niedowierzaniem przyjmowano oświadczenia rzecznicy rządu Tadeusza Mazowieckiego, Małgorzaty Niezabitowskiej, która choć nie pozbawiona wykształcenia ogólnego, cynicznie i w raziący sposób ważyła się unieważniać dotychczasowe wartości uniwersalizmu społecznego na rzecz posłuszeństwa własnej sakwie, nie zaś narodu. Powstaje tak zagadnienie, czy tę nową „wolność” po roku 1989 można legitymować indywidualizmem psychologii humanistycznej, która zrywa z wielkoskalową społeczną polaryzacją, przekonaniem, iż los drugich jest sensem życia człowieka. Wszakże nowy kierunek społecznego urządzenia bardziej odpowiada Frommowskiemu urządzaniu się w jednostkowym szczęściu.

Wydaje się, że niechęć społeczeństwa do myśli wypowiedzianych przez dr. Tadeusza Mazowieckiego i red. Małgorzatę Niezabitowską brała się z odrębnej ewaluacji mazowiecczyzny rozumianej jako system desolidaryzacji (deuniwersalizacji) społeczeństwa i jego konkretyzacji, aniżeli spodziewali się koncesjonowani architekci nowego ładu społecznego. W odczuciu społecznym Mazowiecki grzeszył konkretnością nie na miejscu, kładł nacisk na poszczególne trajektorie rozwojowe, likwidował zaś metafizyczne tło, z którego trajektorie się wynurzają. Nie jest tedy rzeczą przypadkową, że Mazowieckiego wizja społeczeństwa wymagała gwałtownego zmniejszenia czasu i uwagi poświęconych patriotyzmowi. W okresie rządów Mazowieckiego obchody tzw. okrągłej 50. rocznicy września były skromniejsze niż obchody nieregularnej 56. rocznicy. Nic tedy dziwnego, wszak ze stanowiska uznawanego przez Mazowieckiego nowego urządzenia społeczeństwa, państwo przestało być pośrednikiem realizacji, wolności człowieka – nie ma już służby (misji) narodowi, jest już tylko zamiysł konkretny, tylko bogacenie się. Racjonalizacją wolności stał się biznes – poprzednio nazywany spekulacją – nie zaś naród, państwo, wiekotwałe marzenie większego od aktualności wymiaru, można nawet powiedzieć: marzenie ducha. Nie był to jednak duch niewolniczy, wszak kilkunastomilionowa Solidarność nie głosiła pochwały po prostu uznanych wzorców – globalnych rozstrzygnięć tylko dlatego, że są pochwałą stagnacji, bezruchu myśli, wygodą stabilności. Solidarność była ru-

chem poszukiwawczym, łączącym prymat indywidualności z wartościami koniecznymi, powszechnymi; zdaniem jej krytyków – generałów, a nawet mediów zachodnich – była ruchem indywidualistycznym, wyzwolonym z zewnętrznych determinant, ulegającym czarowi podejmowanych przez siebie decyzji, czarowi samowładztwa.

Władze Nowej Epoki, która nastała po roku 1989, głosiły postępowość i moralność przemian, dokonując posunięć, które miały niewiele wspólnego z uniwersalistycznym kierunkiem wymarzoną przez ludność Polski; przeciwnie, koryfeusze nowego porządku zaczęli jawnie głosić program, który można określić mianem lokalizacji (fragmentaryzowania, antyglobalizacji). Powstało domniemanie, że transformacja jest grą korzystną dla wybranych. Michnik zapewne miał na myśli obronę transformacji właśnie dla „wybranych”, a więc transformację z gruntu asolidarystyczną, tzn. ten rodzaj zmian, na który ćma wyborców nie chciała się zgodzić. Lecz tego media – sprawnie koncesjonujące prawdę – nie zamierzały ujawnić, choć głoszone nieobecność zapisów jakichkolwiek tematów. Brak tej narodowej zgody na wcielenie nowej doktryny wypłynął z siłą na powierzchnię głównie w wyborach prezydenckich w listopadzie roku 1990, gdy po raz pierwszy w najdobitniejszy sposób zawiodły nawet najostrzejsze kalkulacje tych zespołów, których poglądy zawsze pilnie odzwierciedlały światowe media. Wydaje się, że nowy trend realizowany w mediach stawał na rezygnację z ogólnych prawidłowości procesów historycznych – na rzecz atomizacji i społecznej dekorelacji. W tym kontekście dotychczas nie rozpatrywano przemian roku 1989. Można powiedzieć, że w planie Mazowieckiego, arogancko bronionym przez Małgorzatę Niezabitowską, chodziło o wypowiedzenie aktu nieposłuszeństwa tradycji wyższego porządku, opartego zresztą na pokorze i cierpieniu jednostki, który wypracowało podziemne, a wcześniej (do 13 grudnia) Solidarnościowe społeczeństwo. Istotą tego nieposłuszeństwa wobec ideałów Solidarności było jednak zamaskowanie nazwami Solidarności prawdziwego oblicza planu ukonkretnienia stosunków społecznych w Polsce. To ukonkretnienie, położenie nacisku na sprawczość własnych decyzji, na niezastępowalność lokalnego zainteresowania i ubóstwa własnego interesu kłóciło się z pragnieniem Solidarności pielęgnowania wzorców koniecznych, uniwersalnych, powszechnych, nawet kosztem bolesnych decyzji ograniczenia lokalnej unikatowości i odrębności.

Cała epoka po 1989 roku jest epoką usuwania wielkoskalowych, Solidarnościowych postulatów etycznych, postulatów socjalizacji jednostki i jej rozwoju, których geneza jest jakby antypsychologiczno-humanistyczna, postulaty te bowiem wyrosły na kanwie czystej refleksji społecznej, prawda, że związanej – tu już mamy rezonans psychologiczno-humanistyczny – z faktem egzystencjalnym. Początkowo – w roku 1989 – kielkowała zaledwie niesmiała myśl, o której obecności monopolisci bali się nawet wspominać. Przybrała ona postać pokerowej zagrywki w pierwszych wolnych (o ile można mówić o wolności w sytuacji pełnej kontroli informacji, albowiem żadna niepożądana informacja nie przedostała się na łamy) wyborach prezydenckich. W późniejszym okresie – również w wyborach, piękne (w kolorze) plakaty z wizerunkiem premiera były masowo wręcz zamalowywane napisem „złodzieje” – były to jednak już czasy, gdy diagnoza ta nie tylko przestała kielkować w umysłach, lecz została przyjęta przez miliony jako ta sama – gatunkowo – prawda, iż w nocy nie świeci słońce. Trzeba o tym wspomnieć, aby nie było złudzeń co do deuniwersalistycznego charakteru samych przemian, albowiem jeszcze dziś można spotkać w chaosie rozpoznania (i wypowiedziach skądinąd rozważnych osób) pogląd, że Wielka Transformacja rzekomo nie godziła w człowieczeństwo po staremu (a więc w ramach wizji świata o dalekich korelacjach) rozumiane. Obecność tak błędnych rozpoznania świadczy o perfekcjonizmie działań maskujących architektów nowego ładu, którzy w instrumentalny sposób – opierając się na niebywałym do jeszcze 1989 roku autorytecie Kościoła i na monopolu informacyjnym – potraktowali Solidarność, a więc całe społeczeństwo. Przykładowo, media głosiły, że architektów nie ma, gdyż jest to naturalny proces obumierania Imperium, które długo żyło, kilka wieków, lecz doszło już do swej końcowej fazy, musi się rozwiązać, gdyż żadne kolejne przeseregowania nie zapewnią mu żadnej siły życiowej.

W tym czasie już, u samego zarania Wielkiej Transformacji, Michnik retorycznie pytał czy „7 milionów Polaków nie wystarczy?”, rzecz jasna, tak pytając, dopuszczamy transformację dla wybranych, taką transformację, która doprowadzi do przedwczesnej

śmierci wielomilionowych mas. Nie można więc zaprzeczyć nowemu sensowi rozwoju społecznego. Okazało się rychło, że średnie trwanie życia po operacji roku 1989 zmniejszyło się, miast się – zgodnie z oczekiwaniami i motywacją do dokonania przekształceń – zwiększyć. Ruch społeczny Solidarności latami domagał się wydłużenia średniej życia przez poprawę warunków lecznictwa, opieki zdrowotnej i socjalnej, opieki w stosunku do wszystkich, nie zaś wybranych grup społecznych – rencistów, emerytów, młodzieży, dzieci we wszystkich przedziałach wiekowych. Solidarność, którą z pietyzmem kultywował naród polski, odrzucała oderwanie człowieka od wielkoskalowego pola wytwarzania współdobrobytu i współodpowiedzialności. Rewolucja roku 1989 była jej zaprzeczeniem, fakt ten starannie ukrywano, aby nie wyłoniła się kwestia autorstwa instrumentalizowania losem wielkich mas, których przywiązanie do wartości uniwersalnych, teorii transcendentálnych struktur historycznych (nakaz ulepszania dziejów świata), a nawet etycznych postaw ludzi budziło podziw na świecie i stanowiło o moralnej sile tej (Solidarnościowej) karty historii. Mimo wszystkich zabiegów zamaskowania etycznego novum nowej-epoki, społeczeństwo samodzielnie wykryło sprzeczność między światem solidarnościowego uniwersalizmu a światem tego wnętrza, w którym tylko własne sumienie i własne psychologiczne potrzeby legitymują całą obecność.

W rewolucji Solidarność nikt nie był wyróżniony – ani negatywnie, ani pozytywnie, tzn. nikt nie był przeznaczony do życia w ciężkich lub luksusowych (kasyna, uciechy, domy na kształt pałaców, konta niejawne) warunkach. Symbolem tego polskiego uniwersalizmu było zainicjowanie przez Solidarność społecznego poparcia dla przemian nawet w więzieniach – domagano się zniesienia szczególnie dolegliwych warunków pobytu w zakładach karnych, polepszenia wyżywienia, szerokiego dostępu do darmowej służby zdrowia, badań kontrolnych etc. Transformacja, która zmierzała do zdjęcia z państwa obowiązku opieki społecznej wobec szeroko rozumianego społeczeństwa, była dla społecznej Solidarności lat 80. nie do pomyślenia, to właśnie uniwersalizm korelacji dalekiego zasięgu był siłą napędową niezwykle w świecie zjawiska. Solidarność miała swoją własną wielką wizję wolności, którą wiązała z polem globalnego rozumienia potrzeb drugiego. To nowe rozumienie człowieka nabrało właściwości historii logicznie zdeterminowanej powinnością – na taką wizję świata sartryści nigdy nie zgodziliby się. W Solidarności rozumieniu dziejów decyzja, konkretnie, lokalne, nie mogą być przeobstawiane, uznane za niezastępowalne nawet tysiącami lat dziejów. Przeciwnie, każda decyzja traci swą autonomiczną moc, gdyż może, a nawet powinna być odniesiona do innego systemu – ewaluacyjnego. Powstała tak doktryna ewaluacyjności faktu, ego, ja, mojego życia i moich decyzji, czynów, wartości, wyborów i potrzeb, jednostki i jednostkowego konkretnie, elementarności, zdarzenia. Ta ewaluacyjność zdarzenia i obecności jest związana z doktryną globalnego pola uniwersalnego, które jest miarą czynu. Sprawa losu zwykłego członka społeczności była centralnym zagadnieniem Solidarności, dlatego nikt nie nazywał emerytów, dzieci lub młodzieży – świadczeniobiorcami. Transformacja roku 1989 została tak pokierowana, aby zasady Solidarności społecznej zminimalizować – niepostrzeżenie zaczęto zmieniać sam język, w języku zaczęły się utrzymywać pewne formy, które ten zresztą dawnowy odwrót od Solidarnościowych ideałów dobitnie potwierdzały. Początkowo, u progu roku 1989, ideały Solidarności nie mogły być jawnie ośmieszane, mimikra – albowiem antysolidarnościową transformację podszyto nazwą Solidarności – stanowi istotę transformacji po roku 1989, transformacji dyktowanej przez bezwzględny kapitał i ideały całkowicie obce Wielkiemu Ruchowi Społecznemu zainicjowanemu w Polsce w roku 1980, pielęgnowanemu niespotykanym w historii wysiłkiem wielomilionowych mas przez całe dziesięć lat. W liberalnej doktrynie usiłuje się człowieka wyleczyć z tzw. powinności, sam ekonomizm ma swe źródła w umiłowaniu „wolnej osobowości”, kierującej się ku sobie, dla realizacji własnych, odczuwanych potrzeb. W doktrynie Solidarności zaś kładzie się przede wszystkim nacisk na powinności, byłyby one ostatecznie związane z losem drugiego – losem rozpoznawalnym przez prymat wielkiego kwantyfikatora. Życie jednostki miało być życiem drugiego, trzeciego itd. – życiem rozpoznawalnym zawsze w planie globalnej polaryzacji, polaryzacji ku społecznemu dobru, nie zaś po prostu fragmentem jakiegoś bytu, którego istotą byłaby obecność jakiejś przedustawnej harmonii między myślą a światem.

W autentycznie spontanicznym ruchu Solidarność najszerze kręgi społeczeństwa nigdy nie mogłyby być nazwane monstrualnym tworem doktora Frankenstein'a, wszak człowiek staje się człowiekiem przez globalne uniwersalistyczne pole obejmujące wszystkie idywidua. Zdanie „9-milionowa armia emerytów i rencistów tworzy potężną grupę interesów, która rujnuje finanse państwa”¹ nie mogłoby nigdy być w ruchu Solidarność wypowiedziane, ponieważ pogarda dla mas była mu całkowicie obca i za tę pogardę, brak szacunku dla starości ludzi, którzy budowali kraj, krytykowano urządzenia społeczne. Uważano w Wielkim Ruchu, że ciężka dola najszerzych kręgów społeczeństwa, a zwłaszcza ludzi starszych, jest konsekwencją antypolskiej polityki obcego imperium, które nastawiło się na zwalczanie społeczeństwa, samej polskości, wszystkiego, co z Polską związane, dlatego nigdy w ciągu dziesięciu lat Solidarności po roku 1980 nie sformułowano ani jednego programu legitymującego zmniejszanie okresu życia, który mają przed sobą starsi ludzie. Przeciwnie, demaskowano wszelkie przejawy zamachu na dobrobyt ludzi starszych. Zgodne jest to z Solidarnościową doktryną służenia ogółowi. Człowiek przez ogół nabywa samowiedzy, tymczasem w doktrynie pookrągłostołowej żaden człowiek nie jest suwerenem drugiego, żaden ogół – jest tylko interes, lokalne ja i moja historia oderwana od wszelkiego substratu, wszelkiej polaryzacji.

W okresie ruchu Solidarność nigdy nie posadzano szerokich kręgów społecznych o ich nieuczciwą grę z państwem. Jasno przedstawiony sąd „9-milionowa armia świadczeniobiorców tworzy – jako elektorat i polityczna klientela – tak potężną grupę interesów, że praktycznie uniemożliwia to ograniczenie przywilejów, które rujnują finanse państwa w stopniu zagrażającym katastrofę budżetową. Aby się przypodobać tak liczniemu środowisku, politycy przez kilka lat gorliwie zapewniali o zrozumieniu dla jego problemów i swojej nieustającej trosce o ich rozwiązanie. W wyniku tego utrwaliło się przekonanie, że są to problemy poważne, a szczególna troska państwa jest konieczna. W tej atmosferze powstała i nasiliła się presja nie tylko na podtrzymanie, ale rozszerzenie uprawnień i przywilejów”¹, w dziesięcioletniej epoce Solidarności musiały być skrzętnie ukrywane, same sformułowania „elektorat”, „klientela”, „grupa interesów”, „przywileje uznano by za obrażające godność człowieka. Nie było wtedy możliwe nawet to, aby naród nazywać grupą interesów, świadczeniobiorcami, masami korzystającymi z przywilejów, albo żeby kwestionować, że najautentyczniejsze problemy społeczeństwa są poważne. I nie jest to sprawa cenzury (autocenzury), tzn. usuwania niewygodnych sądów. Jest to sprawa poglądu, że pewne wartości są nie tylko opisywane, wyrażalne, lecz mają głębsze uzasadnienie, są konieczne. Społeczeństwo, nie zaś jednostka, dobro wspólne, nie zaś dobro indywidualne były punktem wyjścia Solidarności. Jednocześnie dobro wspólne było rozpoznawalne nie bezpośrednio, lecz przez kwantifikator uniwersalny, tzn. w ramach systemu kopernikowskiego. To właśnie od tej powagi problemu odpowiedzialności za innych wyszedł nowy Wielki Ruch Społeczny.

Podniesienie – od roku 1989 – wartości indywidualnego zabiegania o siebie musiało zaowocować nową socjografią. Ocena szerokich kręgów społeczeństwa w kategoriach: „Mieli dawać, a nie dają – narzeka rozczarowany elektorat, świadomy, że zbliżają się kolejne wybory”¹ oraz samo ujęcie problemu narodu jako przeciwnego wybieranym (lub – w warunkach kontroli mediów – wybierającym się) reprezentantom na wysokie stanowiska nie były w Solidarności możliwe. Ruch Solidarności nie był nawet zwykłą presją na podtrzymanie świadczeń gwarantujących ludziom godziwe życie, domagał się jawnie przerwania nadmiaru produkcji – topionego w utrzymywaniu światowych rewolucji – do sfery codziennej konsumpcji; uważano też, że zdjęcie kontroli produkcji w zakładach, którą sprawowała Służba Bezpieczeństwa, musi zaowocować wzrostem przedsiębiorczości, wzrostem tempa wytwarzania nowych dóbr. Pookrągłostołowa epoka zabiegania o siebie zaowocowała przyznaniem niebywałych ekonomicznych prerogatyw Służbie Bezpieczeństwa; dokonano tego półjawnie, nie ukrywano bowiem, że nastała pogoda dla konkretnych przedsiębiorców, w ogóle dla jednostkowego – na tym polegała jawność operacji, ukrywano tylko, że idzie o uwłaszczenie powszechnie pogardzanej moralnie, a nawet zniechęconej w planie etycznym, komunistycznej nomenklatury. Inną jest sprawą, że stosunkowo szybko społeczeństwo zdemaskowało parawanową konstrukcję zaciemniającą prawdę. Wiadomo, że architekci i utrwalacze nowego ładu uważali, że rozpoznanie przez

społeczeństwo, które już bez Solidarności zostało Solidarnością, istoty Wielkiej Transformacji będzie procesem czasochłonnym, trwającym o rząd wielkości dłużej.

Bogactwo jednostki Solidarność wyprowadzała z szerokiego planu, nie zaś z pojedynczego doświadczenia tego jednego, konkretnego życia. I tak domagano się możliwości wdrażania polskiej myśli konstruktorskiej, rozwijania produkcji wagonów, turbin, ograniczenia roli antypolskich agentur utrudniających wdrażanie np. rewelacyjnego mikrokomputera Karpińskiego K-2, dużych – jak na ówczesne czasy – maszyn liczących Odra (zamiast narzuconych Riad), nowych lotniczych konstrukcji, które uzyskały znakomite osiągi podczas testów, wymieńmy tu owoce myśli inż. Sołtyka, konstruktora „Suma”, „Biesa”, „Iskry” – do najlepszych konstrukcji myśliwców należał „Grot” z lat 50., z dyszami poza kabiną, dlatego obce interesy musiały doprowadzić do... likwidacji biura konstrukcyjnego² przeniesienie się wybitnych konstruktorów do innych gałęzi przemysłu (rozproszenia potencjału intelektualnego zespołu), np. Sołtyk rozpoczął w Gdyni pracę nad statkami. Plan zamykania zakładów produkujących turbiny, wagony, zacieśnianie możliwości spożytkowania polskiej myśli technicznej, plan likwidacji Elwro, Plamtu, Fampy, Zamechu, WSK, zakładów produkujących elektronikę – wszystkie te uzdrawiające nowe zalecenia musiałyby być skrzętnie ukrywane przed społeczeństwem lat 80., które to społeczeństwo Solidarności stanowczo odrzucało zysk i rozwój jednostki kosztem ogółu współobywateli. Sam zysk w doktrynie Solidarności podlegał rozpoznawaniu w kategoriach wielkiego kwantifikatora, nie zaś w sartrowskim planie przeobstowania decyzji konkretnej jednostki, lokalnie rozumianego zysku. Po roku 1989 rozpoczęto neutralizowanie tego wszędobylskiego w polskiej kulturze pola odpowiedzialności i korelacji globalnych, poczucie że stary plan marksistowski jest nadal realizowany ogarnęło całe masy społeczne.

Dopiero po roku 1989 pojawiła się pogarda dla powszechnego prawa do pracy, dobrobytu, warunków bezpieczeństwa, zabezpieczenia przyszłości, starości. Wcześniej tego nie było, a ci którzy próbowali tak świat urządzać, zostaliby zaliczeni do nośników patologii społecznej. Starość i cierpienie nie były w polskiej Solidarności widziane jako przeszkoda rozwoju, osobowość bytu, która winna być jak najszybciej zepchnięta w zaświaty; gdyby taką przyszłość – pogardę dla celów ogólnospołecznych, ktoś pokazał w latach 80. w telewizji, społeczeństwo nigdy nie wyraziłoby zgody na okrągły stół, domagałoby się, aby cele umowy okrągłego stołu zostały gruntownie przemodelowane, służyły dobru całego społeczeństwa, nie zaś tylko grupie tzw. przedsiębiorczych – kosztem społecznej trwałości państwa. Tak się przejawiała aktywność rozumu ogółu, ostatecznie rozumu spekulatywnego, rozumu, który nie zabiegał ani o aktualne, ani o lokalne, rozumu uznającego aparaty poznawczą kwantifikatora uniwersalnego, a więc rozumu uniwersalizującego fakty, dokonania, nawet fakty zastane, zespoły poszczególnych trajektorii. To kopernikańskie ewaluowanie tego, co się widzi, obserwuje i co jest, zostało uznane w protestanckiej, a więc bardziej konkretnej kulturze za przejaw anarchii, nieposłuszeństwa, sarmackiego wolnomyślicielstwa. Nowy ekonomizm, siłą narzucany Polsce, bazuje na niezwykle konkretnym przekonaniu, że najbliższą osobą jest ona sama sobie, zatem na uznaniu faktu, który nie podlega ewaluacji i nie może być podważany, przetwarzany w wyższym, bo metasystemie.

Polska Solidarnościowa pełna była abstrakcyjnych przekonań o koniecznym primacie rezygnacji z chwilowego, aktualnego, jednostkowego, materialnego, lokalnego. Któż by się odważył wtedy powiedzieć, że „konfrontacji z rzeczywistością nie wytrzymuje też kolejny mit: że emerytom odpowiednio wysokie świadczenia się należą, bo zostały przez nich kiedyś wypracowane i odłożone. Jasno bowiem widać, że ich świadczenia opłacane są nie z ich niedysiejszych składek własnych, dawno już wydanych na emerytury poprzedników...”¹, kto byłby wtedy w stanie powiedzieć, że ci, co zmarli, już odebrali prawo do życia tym, co jeszcze żyją. Czasownik „należy się” zmienił swój sens, wtedy było czymś oczywistym, że emerytom należy się wszystko, cokolwiek społeczeństwo może ofiarować – Solidarność była przekonana, że możliwa jest jednoczesna reforma polegająca na wzmożeniu produkcji i likwidacją imperialnej kontroli Służby Bezpieczeństwa, nie dopuszcza reformy polegającej na likwidowaniu zakładów pracy i uwzględnieniu w transformacji potrzeb Służby Bezpieczeństwa: zmniejszeniu produkcji i wdrukowaniu w system gospodarczy Służby Bezpieczeństwa – taki model transformacji uznano by za zaprzeczenie starań o wzrost produkcji,

o odcięcie agentury od życia gospodarczego. Solidarnościowa niechęć do agentury wynikała z wielkiej doktryny oceny stanu zastanego i ulepszania historii. Solidarność nie hołdowała prymatowi faktu, starała się więc nawet najtwardsze fakty interpretować oceniać. Od oceny zaś zawsze można przejść do przekształcenia faktu w systemie, koniec końców w nową przyszłość. Powstała tak wielka kultura możliwościowego widzenia faktu, modalnego rozpatrywania konkretnego i tego, co już się stało. W tym systemie jednostka nie jest miarą respektowania wartości, jej sartrowskie prerogatywy znacznie zmalały.

Przypisy

* Tytuł pochodzi od redakcji.

¹ *Emeryci czyli Frankenstein*, „Życie Warszawy”, 6 września 1995.

² Prof. J.B. Zeldowicz, naczelny konstruktor samolotów radzieckich, przyznał w roku 1978, że produkcja w Polskich zakładach,

z uwzględnieniem prototypów testowanych w polskich biurach konstrukcyjnych, jest kontrolowana przez zaprzyjaźnionych ekspertów.

Miroslaw Zabierowski

Miroslaw Zabierowski, dr hab. zatrudniony w Zespole Metodologii Nauki Instytutu Fizyki Politechniki Wrocławskiej. Doktorat pt.: *Współczesne schematy kosmologiczne a problematyka lokalnych i globalnych własności materii* obronił w 1981 r. na Uniwersytecie Jagiellońskim. Tematem habilitacji był *Status obserwatora w fizyce współczesnej*. Autor ponad 100 publikacji naukowych oraz redaktor naczelny (wraz z dr hab. T. Grabińską) serii książkowej *Kosmos – Logos*. Oprócz kosmologii interesuje się filozofią amerykańską, filozofią nauki, filozofią procesu, przyrody i metodologią nauk. (Na podstawie: *Informator Filozofii Polskiej*, „Principia XII”. Kraków 1995).

JAK GRUBA POWINNA BYĆ GRUBA KRESKA?

Skrytobójcze morderstwa, obok takich standardowych sposobów inwigilacji społeczeństwa, jak podsłuch, zatrzymania na 48 godzin czy zastraszenia, były jedną z wielu metod stosowanych przez policję polityczną w walce z opozycją w systemie komunistycznym. Takim drastycznym przykładem przestępczej działalności funkcjonariuszy SB może być zabójstwo Stanisława Pyjasa – współpracownika KSS „KOR” i studenta V roku polonistyki Uniwersytetu Jagiellońskiego – który zginął 7 V 1977 r. w nie wyjaśnionych do dzisiaj okolicznościach. Kilka tygodni przed tragiczną śmiercią S. Pyjas był przedmiotem brutalnej inwigilacji – w wysyłanych do niego i jego przyjaciół anonimowych listach niedwuznacznie grożono mu śmiercią. Gdy na początku maja znaleziono jego ciało w bramie kamienicy przy ulicy Szewskiej 7, okazało się, że groźby te zostały zrealizowane. Po znalezieniu zwłok Pyjasa dochodzenie rozpoczął Wydział Zabójstw KM MO w Krakowie, ale po 10 godzinach całą sprawę przejęła krakowska SB. Kilka dni po odkryciu zbrodni w wydawnym naprędcie oświadczeniu krakowska prokuratura orzekła, iż Stanisław Pyjas, znajdując się pod wpływem alkoholu, spadł z klatki schodowej i, doznając licznych uszkodzeń ciała, zadławił się własną krwią. Co ciekawe, wydając to oświadczenie, które później stało się podstawą umorzenia śledztwa, prokuratura nie przeprowadziła nawet najprostszej wizji lokalnej. Piszący później o tej sprawie Jan Lipski tak podsumował informacje zebrane przez działaczy KSS „KOR”, które stały w rażącej sprzeczności z oficjalnym stanowiskiem prokuratury:

„Po pierwsze – w korytarzu, czy też bramie domu Szewska 7 nie ma klatki schodowej, z której mógł spaść Pyjas. Dom – stary, zabytkowy – w którym w ogóle nie ma klatki schodowej, lecz ma galerie od podwórza, których prowadzą drewniane schody. Upadek z nich tak tragiczny w skutkach musiałby spowodować ogromny hałas. Nikt z mieszkańców domu niczego nie słyszał. Jeden tylko, cierpiący na uporczywą bezsenność słyszał coś, ale z pewnością nie był to spadek ze schodów(...)”.

Gdyby jednak Pyjas spadł ze schodów z tak tragicznym skutkiem – skąd wzięłyby się w bramie-korytarzu domu? Jeśli by przeszedł lub się przeczołgał z raną w tyle głowy (może zresztą nie jedyną) – zostawiłby ślady krwi na podwórzu. Niczego takiego nie było. Krew była tylko przy samej głowie, zresztą niewiele – i nigdzie więcej. Dalej – człowiek czołgający się ku wyjściu robiłby to zapewne głową do przodu, nie tyłem – i tracąc przytomność leżałby w tej pozycji. Gdyby

zadusił się swą krwią – zapewne pozostałyby ślady odruchowego szarpania się. Nie było ich. I Pyjas leżał nie na wznak – a wypadki zaduszenia się własną krwią zdarzają tylko w tej pozycji” (J.J. Lipski, *KOR*, Gliwice 1988, s.126).

Ostatnią osobą, która widziała Pyjasa, był jego kolega – Stanisław Pietruszko. Zeznał on, iż 6 V około godziny 18 widział S. Pyjasa w otoczeniu osobnika, który sprawiał wrażenie, jakby go konwojował. Świadek ten podał również dokładny rysopis owego mężczyzny. Zgodnie z oświadczeniem KSS „KOR” z dnia 18 IV 1978 rysopis ów:

„odpowiada wiernie powierzchowności funkcjonariusza Służby Bezpieczeństwa używającego nazwiska Marian Pałamarz, który do maja 77 pełnił funkcję zwierzchnika komórki tego urzędu do spraw studenckich. Funkcjonariusz ten (zamieszkały w Krakowie przy ul. Długosza 17, tel. 6-23-56) od maja 77 przebywa podobno na bezterminowym urlopie” (*Oświadczenie z 18 IV 78, Komunikat KSS „KOR”, „Biuletyn Informacyjny”, nr 19 z kwietnia, s. 5*).

Jedyny świadek, który widział Pyjasa na kilka godzin przed śmiercią, zginął również w tajemniczych okolicznościach. Pietruszko, będąc działaczem Socjalistycznego Związku Studentów Polskich, otrzymał polecenie udania się w Bieszczady, gdzie nad Zalewem Solińskim trwał obóz studencki. Ostatni raz widziano go wieczorem 30 VII, gdy zamierzał iść nad zalew umyć się. Dwa dni później, 1 VIII 1977 znaleziono jego ciało pływające w trzcinach. Według J.J. Lipskiego powołującego się na opinie specjalistów w dziedzinie medycyny sądowej, do których KOR zwrócił się o konsultację:

„gdyby Pietruszko utopił się, ciało wypłynęłoby na powierzchnię nieco później, na skutek procesów rozkładowych. To, że pływało na powierzchni 1 sierpnia, budzi przypuszczenie, iż w płucach znajdowało się powietrze, nie woda. Mogłoby to wskazywać na wrzucenie do wody zwłok, po śmierci innego rodzaju niż utopienie. Do KOR-u doszła wiadomość z Krosna, gdzie dokonano sekcji zwłok, iż lekarz, który sekcję robił, opowiada, że w płucach nie było wody. Zapytany jednak wprost – zaprzeczył temu” (J.J. Lipski, *op. cit.* s. 127).

Ponieważ – jak stwierdza w swojej książce o KOR-ze J.J. Lipski – po dokładniejszym zbadaniu sprawy nie można było wykluczyć nieszczęśliwego zbiegu okoliczności, KSS „KOR”

nie ogłosił publicznie, iż jedyny świadek w sprawie Pyjasa został również zamordowany.

Tyle udało się ustalić na podstawie „prywatnego” śledztwa prowadzonego przez działaczy KSS „KOR”. We wrześniu 1977 dyspozycyjna wobec władz PRL prokuratura umorzyła postępowanie w sprawie Pyjasa. W reakcji na zakończenie postępowania KSS „KOR” wydał oświadczenie, w którym można było między innymi przeczytać:

„Wobec takiej sytuacji staje się coraz bardziej oczywiste, że postępowanie prowadzono w taki sposób, aby osłonić rzeczywistych sprawców(...) Śledztwo w sprawie Pyjasa należy wznowić” (*Oświadczenie*, ... s. 5).

Wydawało się, że po roku 1989, kiedy do władzy doszedł obóz Solidarności i rzekomo zostały zapoczątkowane rządy prawa, nic nie stoi na przeszkodzie, by ponownie wznowić śledztwo w sprawie Pyjasa i doprowadzić do ukarania winnych. Jednakże po ponownym wszczęciu postępowania prowadzący tę sprawę prokurator w 1991 roku doszedł do miejsca, w którym okazało się, że w otoczeniu S. Pyjasa działało 12 tajnych współpracowników SB. Powodzenie w zakończeniu śledztwa i znalezieniu winnych było więc uzależnione od dostępu do tajnych akt MSW. Jednakże monity prowadzącego tę sprawę prokuratora Jędrzejczyka nie dawały żadnego rezultatu:

„Kiedy wynikła konieczność takich czynności (dostępu do akt operacyjnych SB – przyp. mój K.B.), zwróciłem się do Urzędu Ochrony Państwa. Do UOP dlatego, że w policji nadal zatrudnionych jest wielu byłych funkcjonariuszy SB, których udziału w tym przestępstwie nie mogłem wykluczyć. Z UOP otrzymałem kuriozalną odpowiedź, że Urząd Ochrony Państwa nie ma możliwości przeprowadzenia czynności operacyjnych. Kiedy zażądałem z przejętego po SB archiwum akt dotyczących inwigilacji Pyjasa i opozycyjnego środowiska studenckiego wokół niego, otrzymałem odpowiedź, że akta te zostały zniszczone. Może rzeczywiście tak było, tylko wówczas obowiązkiem UOP było bezzwłoczne zawiadomienie o tym prokuratury, aby ta wszczęła dochodzenie o niszczeniu akt. Tego dotychczas UOP nie uczynił” (*Rozmowa Andrzeja Patuły*, „Czas Krakowski”, nr 237, 25-27 X 1991, s. 12).

Niewiele w tej sprawie zmieniło objęcie resortu MSW przez A. Macierewicza. Po obaleniu zaś rządu J. Olszewskiego i przejęciu kontroli nad ministerstwem przez A. Milczanowskiego sprawa dostępu prokuratury do tajnych akt MSW znowu ugrzęzła w martwym punkcie. Wobec wniosków urzędu prokuratorskiego minister A. Milczanowski zajął dokładnie to samo stanowisko co wobec procesów o zniesławienie – według ministra udostępnienie zawartości archiwum MSW ujawniłoby „tajemnicę państwową” i naraziłoby na szwank „interes państwa”. Wobec uporczywej postawy ministra chroniącego w ten sposób interesy sprawców zbrodni prokuratura zmuszona była w lutym 1994 roku ponownie sprawę umorzyć. Przestępcy zaś nadal pozostają bezkarni.

To stawianie się urzędnika państwowego ponad prawem, aby uchronić powiązanych z SB sprawców zbrodni, jest typową praktyką pełniących władzę państwową we współczesnej Polsce. Postawa taka nie byłaby możliwa bez specyficznego klimatu moralnego wytworzonego w naszym kraju. Klimatu, który, najogólniej mówiąc, wyrasta z filozofii grubej kreski – rezygnacji z wszelkiego typu rozliczeń z przeszłością i uznania zbrodni dokonanych przez system komunistyczny za niebyłe. Obecna

w naszym krajobrazie społecznym filozofia grubej kreski, na jednej płaszczyźnie stawiając kata i ofiarę, w konsekwencji prowadzi poprzez zacieranie różnicy pomiędzy dobrem i złem do relatywizacji moralnej.

Autor niniejszych słów nie jest bynajmniej zwolennikiem „polowań na czarownice” i stosowania odpowiedzialności zbiorowej wobec np. wszystkich członków PZPR i stronnictw sojuszniczych. Nie uważam też ani za celowe, ani za społecznie pożądane konfiskowania np. samochodów nabytych za talony, które można było uzyskać dzięki koneksjom w Komitecie Wojewódzkim czy np. odbierania mieszkań nabytych poza kolejnością dzięki przynależności do wiadomej organizacji. Należy tutaj stanowczo odróżnić żądzę zemsty, która raz wprowadzona w czyn ma tendencję do samo eskalacji i wyzwalania się spod czyjejkolwiek kontroli od potrzeby sprawiedliwości. Zresztą żadne, jak mi wiadomo ugrupowanie, polityczne podnoszące kwestię lustracji i dekomunizacji wbrew insynuacjom obrońców grubej kreski nie stawia w taki sposób tej kwestii. Jednakże, co trzeba wyraźnie podkreślić, czymś innym jest bierne uczestnictwo w systemie (nawet jeżeli połączone ono było z określonymi korzyściami ekonomicznymi) od czynnego naruszania nawet PRL-owskiego prawa. Czymś innym jest bowiem tylko pasywne firmowanie swoim nazwiskiem systemu od aktywnego jego wspierania i wyrządzania zła bliźniemu oraz społeczeństwu tylko dlatego, że należąc do uprzywilejowanej kasty społecznej, korzystało się z przywileju bezkarności. Jednakże zasada grubej kreski nie dostrzega tych niuansów, nie widząc różnicy pomiędzy np. ojcem wielodzietnej rodziny, który aby otrzymać mieszkanie czy wysłać dzieci na kolonie, musiał zapisać się do Partii, a np. oficerem UB, który katując i torturując więźniów, świadomie i, co najważniejsze, aktywnie umacniał panowanie systemu zła. Na podstawie tego przykładu widać, że stosowanie zasady grubej kreski prowadzi do stopniowego zacierania granic między prawem a bezprawiem. Co więcej, stwarza ona niebezpieczny procedens. Bo jeśli raz, na mocy specjalnie zawartych porozumień politycznych, wyłączymy jakąś grupę społeczną spod mocy działania prawa, to później będziemy musieli robić to stale, gdyż trudno będzie ustalić granicę pomiędzy stosowaniem a niestosowaniem z powodów politycznych prawa. Jeżeli zatem można zaniechać ścigania winnych zbrodni okresu 1944–89, to dlaczego nie darować kary sprawcom afer gospodarczych z lat 1989–93 z tego li tylko powodu, że wywodziли się oni z partyjnej nomenklatury, która pokojowo przecież oddała władzę. A jeśli można poniechać ukarania winnych afer gospodarczych to dlaczego nie zaniechać walki z tzw. zorganizowaną przestępczością, która w wielu wypadkach posiada powiązania z byłymi postkomunistycznymi elitami politycznymi itd. Łatwo więc zauważyć, że stosowanie zasady grubej kreski pociąga również pewne koszty społeczne. Są to koszty naruszenia zasady równości wobec prawa, które prawie zawsze prowadzą do postępującej erozji wymiaru sprawiedliwości, podważenia zasad praworządności i osłabienia rządów prawa, które w większym czy mniejszym stopniu stają się fikcją. Kto wie zatem, czy jednym ze źródeł postępującego paraliżu struktur państwa, korupcji administracji i bezsilności jego organów wobec wzrastającej przestępczości nie była, deklarowana swego czasu przez rządzące Polską elity polityczne, zasada grubej kreski, która stworzyła przekraczaniu prawa przychylny klimat społeczny.

Krzysztof Brzechczyn

BRONIEWSKI W SOWIECKIM LWOWIE

1 września 1939 roku Niemcy rozpoczęły wojnę z Polską. Kilkanaście dni później – 17 września – wojska radzieckie, łamiąc między innymi pakt o nieagresji z Polską z 1932 r., przekroczyły granice wschodnie II Rzeczypospolitej rozpoczynając w ten sposób okupację tych terenów, zgodnie z wcześniej zawartym paktem o nieagresji pomiędzy Niemcami a ZSRR (pakt Ribbentrop-Mołotow) z 23 sierpnia 1939 roku.

Tuż po 17 września przybył do Lwowa poeta Władysław Broniewski. Zamieszkał w mieszkaniu swoich znajomych przy ulicy Bielaka, którzy pozostawiając domostwo, uciekli przed władzą radziecką. Szybko nawiązał kontakt ze środowiskiem literackim tego miasta. Należy podkreślić, iż początkowo był on przyjmowany przez nowe władze okupacyjne w sposób szczególnie. Informacje o nim bardzo często pojawiały się w czasopiśmie „Czerwony Sztandar”¹. Była to jedyna oficjalna gazeta wychodząca wówczas we Lwowie w języku polskim. Na jej łamach – oprócz Broniewskiego – pisali między innymi Stanisław Jerzy Lec, Jerzy Putrament, Leon Pasternak, Wanda Wasilewska, Aleksander Wat, Adam Ważyk, Aleksander Dan (wł. Aleksander Weintraub). Ten ostatni na łamach wspomnianego pisma ogłosił w dniu 26 listopada 1939 r. artykuł o Broniewskim pt. *Poeta proletariatu*, w którym tak między innymi pisał o jego dotychczasowej twórczości poetyckiej: „W poezji jego widzimy rzeczywistość polską, którą do niedawna przeżywaaliśmy, w całej tej nikczemności i ohydzie: pastwienie się w defensywach, masowe mordy w mieście i na wsi, okrutny ucisk mas ukraińskich i żydowskich, zapędzanie w podziemia wszelkiego wolnościowego odruchu. Wszędzie tam, gdzie cierpiał i walczył człowiek pracy, poezja Broniewskiego śpieszy ze słowem utuchy”².

Sylwetkę Broniewskiego zaprezentował także w sposób pozytywny Aleksander Wat – jego kolega z okresu międzywojennego, razem współpracowali w „Miesięczniku Literackim” – w czasopiśmie „Litieraturnaja Gazieta”, który stwierdził, iż jest to „ulubieniec mas pracujących, piewca walki i cierpień polskiego ludu, a zarazem subtelny, nowatorski poeta liryczny”³.

Kłęska Polski w 1939 roku mocno zaważyła na psychice Broniewskiego. Leon Pasternak – przed 1939 r. czynny komunista, skazany do obozu w Berezie Kartuskiej, po napaści Niemiec na ZSRR i ewakuacji z Lwowa do Moskwy prowadził dział poezji w czasopiśmie „Nowe Widnokręgi” – wspominał, iż w „Lwowie, w 39, Włodek przeżywał klęskę wrześniową głębiej niż wszyscy komuniści. Pił, a w godzinach trzeźwości pisał wiersze”⁴. Wówczas to powstał utwór pt. *Żołnierz Polski*⁵. Wspomniany Pasternak pisał, iż Broniewski „obraził się” na „dogmatyczny dzienniczek Czerwony Sztandar, który naśladowując niewolniczo najgorsze wzory propagandy, wbrew opinii większości jego współpracowników, nie chciał zamieścić jego utworu [...]”⁶.

W listopadzie Broniewski napisał wiersz *Syn podbitego narodu, syn niepodległej pieśni*⁷, w którym możemy odnaleźć jego komunistyczne „wyznanie wiary”:

„chcę, żeby z gruzów Warszawy, rósł żelbetonem socjalizm,
chcę, żeby hejnał mariacki szumiał czerwonym sztandarem”⁸.

W utworze tym znajdujemy także akceptację przez Broniewskiego zaboru wschodnich ziem II Rzeczypospolitej przez ZSRR. Ten krok władz radzieckich potraktował poeta jako ich wyzwolenie:

„Dumna i piękna Warszawo, chwała twoim ruinom,
chcę zliczyć i ucałować twoje męczeńskie cegły.

Podaj mi dłoń, Białorusi, podaj mi dłoń, Ukraino,
wy mi dacie na drogę wasz sierp i młot niepodległy”⁹.

Skoro Broniewski niektórych przez siebie napisanych wierszy nie mógł opublikować, deklamował je wśród bliskich znajomych. Tak było np. z utworem, w którym stwierdził, iż Polska wygrałaby wojnę z Niemcami w 1939 roku, gdyby nie układ Ribbentrop-Mołotow:

„I byłby nowy Grunwald
byłyby nowe Płowce,
gdyby nie te bombowce
i gdyby nie te czołgi
znad Wołgi”¹⁰.

Broniewski, w przeciwieństwie do swoich kolegów z „Czerwonego Sztandaru”, nie realizował dyrektyw politycznych władz radzieckich. W „codziennym życiu literackim był nieobecny, choć o szczegóły pracy naszej w lwowskim Związku Pisarzy wypytawał mnie nieustannie” – wspominał Pasternak¹¹. Dalej zaś stwierdzał: „Nigdy jednak noga jego nie postąpiła w lokalu związku, choć siedziba tegoż mieściła się w arcywygodnym i przytulnym pałacyku byłego właściciela hrabiego Bielskiego i miała niezgorzej zaopatrzoną taną stołówkę i... bufet, co dla niego w owych czasach było rzeczą nie do pogardzenia”¹².

Z tego względu, iż Broniewski nie uważał za słuszne popierać i realizować „linii generalnej” władzy radzieckiej, tak jak jego znajomi z „Czerwonego Sztandaru”, został zaatakowany przez jedną z tych osób, które gloryfikowały nową rzeczywistość – Elżbietę Szemplińską-Sobolewską. Jan Karol Wende tak wspominał tamte czasy: „Włodek miał wątpliwości i nie krył się z tym jak inni. Wykorzystywali to ludzie mali, słabi, ludzie, którzy mścili się za swoje średniactwo artystyczne czy niewypały polityczne. Byli też, rzecz jasna, zwykli oportuniści i karierowicze. Oto tło, na którym zrodziła się denuncjacja, prowokacja i – tragedia Władysława Broniewskiego. [...] Właśnie w tej atmosferze [...] zrodził się osławiony wiersz Elżbiety Szemplińskiej (...Jak więc teraz mamy płakać po Warszawie? Jak żałować kawiarni kościołów i zamku...)”¹³, mający być repliką, nie tylko poetycką, na dramatyczne strofy Władysława Broniewskiego (...O czym i jak mam śpiewać, gdy dom mój – ruiny i zgłiszczają...)”¹⁴.

Tymczasem 24 stycznia 1940 roku na skutek prowokacji władz radzieckich Broniewski oraz między innymi Tadeusz Peiper, Anatol Stern, Juliusz Balicki, Wojciech Skuza, Aleksander Wat zostali zaaresztowani przez NKWD¹⁵. Następnego dnia Jerzy Putrament – literat – zwołał zebranie, aby potępić aresztowanych i „odciąć się od nich”. Miał w tym celu przygotowane odpowiednie pismo z podpisami niektórych zostawionych na wolności pisarzy. Sprzeciwiła się tym działaniom Wanda Wasilewska, tłumacząc, że jest na to jeszcze za wcześnie, że trzeba poczekać na sąd, na ujawnienie prawdy. W rezultacie nie podpisała oświadczenia Putramenta. Nie zrobili tego również Ważyk, Lec, Szemplińska¹⁶.

27 stycznia w „Czerwonym Sztandarze”, w którym wcześniej wychwalano Broniewskiego, ukazał się artykuł Witolda Kolskiego – zastępcy redaktora naczelnego tego pisma – pt. *Zgniść gadzinę nacjonalistyczną*. Autor uzasadniał w nim rozprawę z Broniewskim, pisząc: „W zachodnich obwodach Ukrainy znalazły się jednak i takie jednostki, które przybyły tu nie dlatego, by wspólnie z całym narodem radzieckim uczestniczyć w dziele stworzenia nowego socjalistycznego życia – lecz aby przepro-

wadzić antyradziecką politykę nacjonalizmu polskiego, działającego pod komendą imperialistycznej Anglii i Francji [...]. Co [...] Broniewski i inni, mieniący się pisarzami rewolucyjnymi, zrobili pożytecznego w tym czasie dla klasy robotniczej, dla władzy radzieckiej? Gdzie jest granica oddzielająca tych osobników, do szpiku kości przeżartych nacjonalizmem polskim, od kontrrewolucji? [...] tego rodzaju elementom powinno się uważnie przyjrzeć społeczeństwo radzieckie – i w szczególności powołane do tego organy”¹⁷. Dalej zaś Kolski stwierdził, iż Broniewski to „oficer drugiego oddziału (defensywy wojskowej) z czasów wojny białej Polski przeciwko republice radzieckiej, nałogowy alkoholik spijający się w warszawskich spelunkach z generałem Wieniawa-Długoszowskim i innymi dygnitarzami reżymu sejmowego – a ostatnio we Lwowie uprawiający szowinistyczną agitację przy pomocy wierszydeł nacjonalistycznych”¹⁸.

Zaresztowany Broniewski został przewieziony do więzienia lwowskiego na Zamarstynowie. Tam mimo trudnych warunków życiowych nie traci hartu ducha. Wat – który siedział w sąsiedniej celi – wspominał, iż „Władzio był niesłychanie dzielny, z ogromną siłą, jakieś orlątko. I nie tylko w tym szczerze go podziwiam. Ja chodzącem inteligentem krokiem, biegłem w kółko po tej celi. A on – zazdrościłem mu tego – chodził żołnierskim krokiem, wybił takt i śpiewał wszystkie legionowe pieśni”¹⁹.

Broniewski mimo uciążliwych warunków więziennych próbuje pisać wiersze. Pierwszy z nich powstał w lutym 1940 roku w formie listu do córki pt. *List z więzienia*²⁰. W drugim wierszu napisanym na przełomie lutego i marca, zatytułowanym *Rozmowa z historią*²¹, ukazał istotę ówczesnego systemu radzieckiego.

Lwowski okres życia Władysława Broniewskiego zakończył się z chwilą kiedy został przewieziony z więzienia na Zamarstynowie na Łubiankę do Moskwy. Tam wiódł dalej „normalne” życie więźnia – przesłuchania, głód, zimno.

Na mocy zawartego układu między rządem polskim i radzieckim (znanym jako układ Sikorski-Majski) podpisanym 30 lipca 1941 roku w Londynie, w którym stwierdzono między innymi, iż „z chwilą przywrócenia stosunków dyplomatycznych rząd radziecki udzieli amnestii wszystkim obywatelom polskim, którzy są obecnie pozbawieni wolności na terytorium ZSRR”²², Broniewski został wypuszczony z więzienia na wolność we wrześniu 1941 roku. Następnie wstąpił do tworzącej się w ZSRR Armii Polskiej, na czele której stanął generał Władysław Anders, ale to już zupełnie inna historia.

Marek Kozłowski

Przypisy

¹ „Czerwony Sztandar” nr 14, 24, 28, 42, 48 z 1939. Pułkownik Stefan Rowecki w meldunku sytuacyjno-wywiadowczym z dnia 22 lutego 1940 r. do generała Kazimierza Sosnkowskiego na temat sytuacji pod okupacją radziecką – błędnie poinformował go, iż Władysław Broniewski nie współpracował z „Czerwonym Sztandarem” – pisał między innymi: „Na osobną uwagę zasługuje komunistyczna grupa inteligencji polskiej, skupiona we Lwowie dookoła dziennika »Czerwony Sztandar«. Grupa pisarzy polskich o znanych nazwiskach zaciągnęła się tam na służbę najeźdźcy. Należą tu: Boy-Zeleński, W. Wasilewska, H. Górka, T. Hollender oraz W. Skuza. [...] Grupa ta nie posiada żadnych poważniejszych wpływów w miejscowym społeczeństwie, zwłaszcza, że składa się z żywiołów importowanych i traktowana jest raczej pobłażliwie. Nie przyłączyli się do tej grupy poeta Broniewski i znany aktor Damięcki, który powrócił do Warszawy”. *Studium Polski Podziemnej. Armia Krajowa w dokumentach 1939-1945*,

t. I, wrzesień 1939 – czerwiec 1941, Londyn 1970, s. 107-108; J. Marszałek, *Słownik biograficzny ofiar stalinizmu w Polsce*, z. 5 z 1990. O tym, w jaki sposób zbierano wówczas informacje dla płk. Stefana Roweckiego, pisał Jan Rzepecki (*Organizacja i działanie Biura Informacji i Propagandy (BiP) Komendy Głównej AK*, „Wojskowy Przegląd Historyczny”, nr 2 z 1971, s. 128): „Wiadomości mieli zbierać pracownicy występujący w imieniu organizacji, **studiujący prasę** (podkreślenie moje – M.K.) i dokumenty i nawiązujący kontakt z poszczególnymi środowiskami w celu wymiany poglądów i informacji”. Z przykrością należy stwierdzić, iż informatorzy w tym przypadku niedokładnie przeglądali prasę – „Czerwony Sztandar”. W czasopiśmie tym znaleźć możemy m.in. przedruk wiersza Broniewskiego *Twarde ręce* (nr 14 z 1939) czy też Jego podpis pod oświadczeniem „Pisarzy polskich witających zjednoczenie Ukrainy, (nr 48 z 1939). Przykłady te świadczą m.in. o współpracy Broniewskiego z „Czerwonym Sztandarem”.

² A. Dan, *Poeta proletariatu*, „Czerwony Sztandar” nr 54 z 1939,

³ A. Wat, *Polskie sowieckie pisateli*, „Litieraturnaja Gazieta” nr 67 z 1939.

⁴ L. Pasternak, *Aresztowanie Władysława Broniewskiego*, „Zapis” nr 16, Londyn 1981, s. 107.

⁵ Pierwodruk: „Nowe Widnokregi” (Moskwa) nr 7 z 1941.

⁶ L. Pasternak, *op. cit.*, s. 108.

⁷ Pierwodruk: „Nowe Widnokregi” (Moskwa) nr 7 z 1941.

⁸ Cyt. za: W. Broniewski, *Wiersze i poematy*, Warszawa 1967, s. 167.

⁹ Tamże.

¹⁰ Cyt. za: M. Borwicz, *Inżynierowie dusz*, „Zeszyty Historyczne” nr 3, Paryż 1963, s. 121. O tym, jaka panowała wówczas „swoboda” w okupowanym Lwowie wspominała po latach Ola Watowa: „Pamiętam, jak na jakiejś uroczystości nie pozwolono Broniewskiemu powiedzieć wiersza *Kto ty jesteś? Polak mały*”. O. Watowa, *Wszystko co najważniejsze...*, Warszawa 1990, s. 32.

¹¹ L. Pasternak, *op. cit.*, s. 108.

¹² Tamże.

¹³ Właściwy tytuł: *Prawdziwa ojczyzna*.

¹⁴ J.K. Wende, *Ta ziemia od innych droższa...*, Warszawa 1981, s. 80-81.

¹⁵ Przebieg aresztowania opisali po latach: A. Wat, *Mój wiek. Pamiętnik mówiony*, t. I, Warszawa 1990, s. 302-306; O. Watowa, *op. cit.*, s. 32-35; T. Drewnowski, *Taśma Ważyka*, „Gazeta Wyborcza”, nr 265 z 1993. Por. także: L. Pasternak, *op. cit.*, s. 110-112.

¹⁶ O. Watowa, *op. cit.*, s. 35. Jan Karol Wende wspominał, iż Wanda Wasilewska w rozmowie z nim stwierdziła, iż próbowała ratować Broniewskiego, interweniując u samego Józefa Stalina. J.K. Wende, *op. cit.*, s. 88.

¹⁷ W. Kolski (Wł. Bernard Cukier), *Zgnieść gadzinę nacjonalistyczną*, „Czerwony Sztandar” nr 104 z 1940. Pasternak pisał, iż zadanie to powierzono Kolskiemu nie bez przypadku, ponieważ musiał się „wykazać”, gdyż „wybrano go bowiem na jednego z dwóch kandydatów na przyjęcie do WKP(b)”. L. Pasternak, *op. cit.*, s. 112.

¹⁸ W. Kolski, *op. cit.*, Wierszyłem tym był *Syn podbitego narodu, syn niepodległej pieśni*, przedstawiony w toku śledztwa jako dowód nacjonalizmu Broniewskiego.

¹⁹ A. Wat, *op. cit.*, t. I, s. 362.

²⁰ Pierwodruk: „Wiadomości Polskie” (Londyn) nr 39 z 1941.

²¹ Pierwodruk: „Wiadomości Polskie” (Londyn) nr 49 z 1943.

²² *Sprawa polska w czasie drugiej wojny światowej na arenie międzynarodowej*, Warszawa 1965, dok. nr 6, s. 226.

PRÓBA PRZEWROTU KOMUNISTYCZNEGO W BRAZYLII W 1935 ROKU

Stopniowemu ujawnianiu zawartości tajnych archiwów sowieckich towarzyszą nieraz sensacyjne odkrycia, rzucające nowe światło na kulisy najnowszej historii politycznej niejednego kraju i państwa. Jednego z takich odkryć dokonał niedawno William Waack, reporter brazylijskiego dziennika „O Estado de São Paulo”, przeszukując moskiewskie archiwum Międzynarodówki Komunistycznej w poszukiwaniu materiałów dotyczących nieudanego komunistycznego zamachu stanu w Brazylii, jaki miał miejsce w listopadzie 1935 r. Efektem jego 70-dniowych poszukiwań stała się, wydana jako dodatek specjalny do wspomnianego dziennika, publikacja zatytułowana *Tajemnice rewolucji komunistycznej w Brazylii*.

Zawartość owej publikacji wprawiła w niemłą konsternację brazylijską lewicę, ukazując wydarzenia z listopada 1935 r. jako dywersyjną operację sowieckich służb specjalnych, zorganizowaną i przeprowadzoną według scenariusza jakby żywcem przeniesionego z jakiegoś filmu szpiegowskiego. Sprawa może być jednak interesująca nie tylko dla Brazylijczyków: sensacyjne odkrycie Waacka ma ogólniejsze znaczenie jako ciekawa – i podparta dokumentacją źródłową – ilustracja mechanizmów funkcjonowania sowieckich służb specjalnych i międzynarodowego ruchu komunistycznego.

Nieudany przewrót komunistyczny w Brazylii zaczął się 23 listopada 1935 r. w Natalu – satelity północnego stanu Rio Grande do Norte. Zamachowcy – wspierający się na szeregowcach i podoficerach miejscowego garnizonu – opanowali lokalne koszary, a następnie całe miasto. 25 listopada wybuchł bunt wojska i robotników kolejowych w Recife. Został on stłumiony następnego dnia wieczorem, po krwawych walkach pomiędzy rebeliantami a wojskiem federalnym i policją. 27 listopada upadło również czerwone powstanie w Natalu, a czołowi zamachowcy wpadli w ręce sił rządowych przy próbie ucieczki w głąb kraju.

Nie zrażeni niepowodzeniami w Recife i Natalu spiskowcy wywołali jeszcze 27 listopada 1935 r. bunt żołnierzy Trzeciego Pułku Piechoty w Rio de Janeiro. Również bez powodzenia. Bunt został tu tak szybko i sprawnie zlokalizowany przez siły rządowe, że nawet komunikacja miejska działała bez przeszkód w pobliżu miejsca walk. Bombardowani z lądu, morza i powietrza buntownicy poddali się.

Jak widać, wszędzie zastosowano ten sam schemat, wzorowany na przewrocie bolszewickim w Rosji: bunt wojska jako namiastka „rewolucyjnego zrywu mas”.

Próba rewolucji komunistycznej w Brazylii okazała się totalnym niewypałem, choć jej koszt ludzki był niemały: kilkuset zabitych, od 5 do 15 tysięcy aresztowanych.

Wiadomo dziś, że całe to poronione przedsięwzięcie było od początku do końca sterowane przez centralę Międzynarodówki Komunistycznej w Moskwie i sowieckie służby specjalne.

Głównym narzędziem Kominternu był wywodzący się z kół wojskowych brazylijski emigrant polityczny – Luis Carlos Prestes. Wyróżnił się on w latach 20. jako jeden z liderów ruchu młodych oficerów, występującego przeciwko ówczesnemu prezydentowi Brazylii, Arturowi da Silva Bernardesowi. Największą sławę przyniósł mu udział w walkach zbuntowanych oddziałów, które w latach 1924–27, pokonując w sumie 24 tysiące kilometrów (!), przemierzały wzdłuż i wszerz Brazylię jako tak zwana Kolumna Prestesa. Od 1927 r. Prestes przebywał na emigracji w Boliwii i Argentynie, zyskując w brazylijskich środowiskach opozycyjnych rosnącą popularność i miano „rycerza nadziei”.

W 1929 r. próbowali pozyskać go dla siebie liderzy opozycyjnego Sojuszu Liberalnego, a wśród nich słynny Gétulio Vargas, który już niebawem objąć miał urząd prezydencki w wyniku przewrotu politycznego, do którego doszło w roku 1930. Prestes kroczył jednak już w tym czasie zupełnie inną drogą, odchodząc od swoich dawnych przyjaciół politycznych.

Przebywając na emigracji, wszedł on w kontakt ze środowiskami komunistycznymi, a w szczególności z pewnym Niemcem, nazwiskiem Artur Ernst Ewert, prowadzącym południowoamerykańskie biuro Kominternu w Montevideo. Więzy te stały się z czasem na tyle silne, że w 1931 r. Ewert zorganizował wyjazd Prestesa do Moskwy (wraz z matką i czterema siostrami). Przybywszy do Związku Sowieckiego, Prestes ofiarował na cele Kominternu kwotę 20 tysięcy dolarów, otrzymaną w swoim czasie od... Vargasa – wówczas już prezydenta Brazylii. Moskwa uzyskała w ten sposób pokaźne środki na finansowanie działalności partii komunistycznych w krajach Ameryki Łacińskiej.

Osoba Prestesa przypadła szczególnie do gustu jednemu z czołowych funkcjonariuszy Międzynarodówki Komunistycznej, sekretarzowi Komitetu Wykonawczego Kominternu Dymitrowi Manuilskiemu, który

stał się swego rodzaju opiekunem brazylijskiego emigranta i gorącym orędownikiem jego projektów politycznych. W tej atmosferze zrodził się plan zorganizowania pod przewodnictwem Prestesa komunistycznego przewrotu politycznego w Brazylii. W zamierzeniu te nie w tajemniczo nawet Komunistycznej Partii Brazylii, nie darząc jej dostatecznym zaufaniem. Wszystko pozostawało w rękach Moskwy i jej służb specjalnych.

Zadanie zorganizowania przewrotu powierzono ekipie, do której prócz Prestesa należeli między innymi: wspomniany Artur Ernst Ewert, obywatel sowiecki Paweł Stuszewski – agent GPU, szef pierwszej sowieckiej placówki szpiegowskiej w Rio de Janeiro, jego żona Zofia – agentka sowieckiego wywiadu wojskowego, Johann Graff – marynarz niemiecki, specjalista od terroryzmu i sabotażu, poprzednio agent Kominternu w Rumunii, Wielkiej Brytanii i Chinach, Amerykanin Victor Baron – radiotelegrafista, a także poznana i poślubiona przez Prestesa w Moskwie niemiecka komunistka, pracownica sowieckiego wywiadu wojskowego – Olga Benario. W zmontowanej przez Moskwę wielonarodowej ekipie organizującej rewolucję brazylijską Prestes był jedynym Brazylijczykiem.

Ekipa ta dotarła do Brazylii w pierwszych miesiącach 1935 r.

W ślad za ludźmi poszły pieniądze, które Moskwa przesyłała swoim agentom w Brazylii za pośrednictwem właściciela położonej w najlepszej dzielnicy São Paulo eleganckiej kawiarni, będącej miejscem spotkań miejscowej elity intelektualnej i towarzyskiej, a zarazem punktem kontaktowym komunistów. Tylko w 1935 r. wydano na przygotowanie przewrotu 14 tysięcy dolarów, a w kontrolowanej przez Stuszewskiego kasie znajdowało się jeszcze 30 tysięcy dolarów. Sam Prestes, przybyły wraz z żoną potajemnie do Brazylii w kwietniu 1935 r., otrzymywał 300 dolarów miesięcznie. Ogółem Moskwa przeznaczyła na sfinansowanie planowanego przewrotu w Brazylii blisko 70 tysięcy dolarów. Były to ogromne sumy w zestawieniu z faktem, że przeciętna płaca w Brazylii wynosiła wówczas 45 dolarów.

Całość poczyniń spiskowców była na bieżąco kontrolowana przez kierownictwo Kominternu w Moskwie, które udzielało swoim agentom szczegółowych instrukcji i wytycznych, ingerując we wszystkie kwestie polityczne, ideologiczne i personalne.

Prestes i Ewert ślali do Moskwy optymistyczne raporty, entuzjazmując się rzekomymi nastrojami rewolucyjnymi „mas” i wojska oraz zapowiadając łatwe zwycięstwo. Rzeczywistość wyglądała zupełnie inaczej, ale Kierownictwo Kominternu podzielało bezpodstawny optymizm swoich brazylijskich agentów. 26 listopada 1935 r. nadano z Moskwy sygnowany przez czołówkę Międzynarodówki Komunistycznej (Togliatti, Gottwald, Pieck, Marty i inni) telegram zezwalający na rozpoczęcie przewrotu, zapowiadając jednocześnie przysłanie pomocy finansowej w postaci dalszych 25 tysięcy dolarów. Był to już jednak kres złudzeń na temat rewolucji komunistycznej w Brazylii. Wspomniany telegram dotarł do Rio de Janeiro, w chwili gdy czerwona rebelia dogorywała, a ambitne plany Prestesa leżały w gruzach. Zamiar stworzenia komunistycznego przyczółka na półkuli zachodniej chwilowo okazał się niewykonalny.

Losy komunistycznych zamachowców potoczyły się rozmaicie.

W porównaniu z innymi Prestes znów miał sporo szczęścia. Wpadł on w ręce władz brazylijskich po długich poszukiwaniach w marcu 1936 r. Skazano go początkowo na 17 lat więzienia, a następnie dodatkowo na 30 lat w procesie o zabójstwo. Wyszedł on na wolność w kwietniu 1945 r. w ramach amnestii dla więźniów politycznych, ogłoszonej wkrótce po nawiązaniu przez Brazylię stosunków dyplomatycznych ze Związkiem Sowieckim. W maju 1945 r. – stosownie do nowego kursu Kremla – Prestes udzielił publicznie poparcia prezydentowi Vargasowi, przeciwko któremu zwrócona była rebelia z listopada 1935 r. Poparcie to niewiele pomogło jednak Vargasowi, który jesienią 1945 r. zmuszony był ustąpić z urzędu pod presją armii.

Zona Prestesa, Olga – będąca właśnie w ciąży – jako Niemka wydana została przez policję brazylijską władzom niemieckim. Aresztowana przez Gestapo, zginęła w obozie koncentracyjnym. Stuszewski i Graff przekazani zostali władzom sowieckim. Trafiwszy w ręce NKWD, zostali rozstrzelani w 1938 r. Ewert wpadł w obłąd w wyniku tortur, jakim poddano go w śledztwie.

Ci z zamachowców, którzy dotarli do Związku Sowieckiego, stanęli przed specjalną komisją badającą przyczyny niepowodzenia zamachu. Ich zeznania stanowią dziś pokaźną część dokumentacji obrazującej opisane wydarzenia z listopada 1935 r. Ile podobnych sensacyjnych historii zapisanych jest w nie odkrytych jeszcze zasobach sowieckich archiwów?

Zbigniew Bereszyński

GENERAL MIECZYSLAW MAKARY SMORAWIŃSKI

- Stanisław Szczęśny Fusiecki, *Generał Mieczysław Makary Smorawiński 25.12.1893 Kalisz – 1940 Katyni. W stulecie urodzin, Warszawa 1994*

Na temat losów generałów polskich, którzy zginęli w Katyniu z rąk NKWD w 1940 r. nie pisano w PRL w ogóle. Istniała zaplanowana na ten temat przez ówczesne władze swoista zmo-wa milczenia. Z tym większą satysfakcją należy odnotować fakt wydania w 1994 r. pracy Stanisława Szczęsnego Fusieckiego poświęconej gen. Mieczysławowi Smorawińskiemu, jednemu z tych wojskowych II Rzeczypospolitej, którego zwłoki spoczęły na zawsze na „nieludzkiej ziemi”. Jest to pierwsza próba opracowania biografii Generała. Autor (daleki krewny gen. Smorawińskiego) do jej napisania wykorzystał część zasobów archiwalnych znajdujących się w Centralnym Archiwum Wojskowym oraz monografie, wspomnienia i relacje.

Po względem konstrukcji książka składa się z siedmiu rozdziałów. W pierwszym z nich został przedstawiony biogram gen. Smorawińskiego w wersji przygotowanej przez Andrzeja Kostrzewskiego do *Polskiego Słownika Biograficznego*.

W drugim autor opisał pochodzenie przodków Generała, powiązania i środowisko rodzinne Smorawińskich. Poświęcił jednak za mało miejsca ich pobytowi w Kaliszu, natomiast rozpiął się o Turku, dokąd przenieśli się w 1896 r.

Żołnierska droga generała brygady Mieczysława Makarego Smorawińskiego to kolejny rozdział pracy. Fusiecki zasygnalizował zaledwie, iż „drogę tę” poprzedziła działalność niepodległościowo-konspiracyjna w Kaliszu, gdy w trakcie nauki w Szkole Handlowej od roku 1908 brał udział w pracach niepodległościowych organizacji młodzieżowych, za co po półrocznym więzieniu w Kaliszu został zesłany do Jekaterynosławia. Nie zaprezentował jego działalności i zasług w rozwoju kaliskiego skautingu, a należy podkreślić, iż rola, jaką odegrał w tym zakresie, była bardzo istotna. Natomiast czasami zbyt szczegółowo opisuje pewne wydarzenia, które są dość luźno związane z osobą Mieczysława Smorawińskiego, jak chociażby przysięga legionowa czy opis szarży pod Rokitną. Fusiecki zawartość faktograficzną rozdziału doprowadził do roku 1920, mimo iż jego tytuł wskazuje na coś zupełnie innego. Tak więc działalność wojskowa gen. Smorawińskiego do września 1939 r., łącznie z okolicznościami pójścia do niewoli sowieckiej, nie zostały przedstawione. Co prawda, jakieś „szczętki” informacji na ten temat znajdujemy w rozdziałach o charakterze wspomnieniowym – czwartym (*Takim był – w pamięci rodziny i innych*) i piątym (*Takim był – w oczach żołnierzy września i współwięźniów radzieckiej niewoli*), ale są one różnorodnej wartości historycznej i nie stanowią usprawiedliwienia dla tego rodzaju poczyniń autora, które zaprezentował w rozdziale trzecim.

Uroczystości związane z nadaniem Szkole Podstawowej nr 4 w Turku imienia Generała Mieczysława Smorawińskiego to przedostatni rozdział książki. Uważam, iż materiał ten został niepotrzebnie włączony do tej pracy. Wystarczyło w przypisie poinformować o wspomnianej uroczystości, a nie poświęcać temu zdarzeniu tak wiele uwagi (31 stron).

Ostatni rozdział pt. *Cień Katynia* rozpoczyna się osobistym aspektem przeżywania zbrodni katyńskiej przez autora. Następnie przedrukowane zostało opracowanie Jędrzeja Tucholskiego zatytułowane *Takiej mogiły jeszcze nie było...*, w którym przedstawiono historię „walki” o prawdę o Katyniu. Uważam, iż materiał ten nie powinien być zamieszczony w omawianej publikacji, ponieważ nie jest bezpośrednio związany z gen. Smorawińskim (ani razu w tekście nie pada jego nazwisko). W tej części książki przypomniano także pamiątki i miejsca związane z życiem i działalnością wojskową Generała.

Źródła archiwalne i literatura przedmiotu, jaka została wykorzystana przez autora do napisania biografii o gen. Mieczysławie Makarym Smorawińskim, są niezwykle skromne. Wypada żałować, że nie sięgnął on do najnowszych materiałów związanych z opracowywanym przez niego tematem, które drukowane były na łamach „Wojskowego Przeglądu Historycznego” (WPH), by tylko wymienić takie artykuły, jak Tadeusza Pieńkowskiego *Droga do dołów śmierci w lesie katyńskim* czy Ryszarda Wołęgiewicza *Między Kozielskiem a Katyniem*. Zostały one zamieszczone w „WPH”, nr 1-2 z 1990 roku. Czy wreszcie opracowanie Jędrzeja Tucholskiego *Transporty śmierci ze Starobielska i Kozielska. Kwiecień – maj 1940 r.* – również opublikowane na łamach tego specjalistycznego czasopisma naukowego; „WPH”, nr 1 z 1991 roku. Są one ważne, ponieważ po raz pierwszy w Polsce przedstawiono w nich m.in. niektóre materiały z archiwów rosyjskich, które dotyczą pobytu Generała w Kozielsku, jak również jego wyjazdu do Katynia. Szkoda, iż autor, pisząc zaledwie kilka zdań o okresie kaliskim bohatera niniejszej pracy, nie sięgnął chociażby do ciekawego listu-wspomnienia inż. Wacława Sadowskiego (Zakład Narodowy im. Ossolińskich we Wrocławiu, sygn. 14992), omawiającego działalność Smorawińskiego w tamtym czasie. Warto było również skorzystać z pewnych opracowań, w których omówiono fragmentarycznie aktywność wojskową gen. Smorawińskiego, jak np. we wrześniu 1939 r. w monografii Ludwika Głowackiego (*Działania wojenne na Lubelszczyźnie w roku 1939 – Lublin 1976*).

Wreszcie należy ubolewać, iż w książce nie zamieszczono indeksu nazwisk, co ułatwiłoby czytelnikowi korzystanie z niej.

Reasumując, należy stwierdzić, iż postawione zarzuty i niedociągnięcia nie dyskwalifikują w sposób absolutny pracy. Jest ona cennym przyczynkiem historycznym do biografii gen. Mieczysława Makarego Smorawińskiego, który nadal czeka na swojego badacza. Tekst czyta się z niesłabnącym zainteresowaniem od początku do końca, do czego przyczyniła się w przeważającej mierze atrakcyjna problematyka stanowiąca przedmiot rozważań autora. Książka zawiera wiele ilustracji związanych z życiem i działalnością gen. Smorawińskiego, co podnosi jej wartość poznawczą i estetyczną. Dla starszych Polaków jest to „lektura zalecana”, dla młodego pokolenia po prostu obowiązkowa.

Marek Kozłowski



Numer zamknięto 20 IV 1996 r. **Wydawca:** Wydawnictwo „WiS”.

Redaguje zespół: Krzysztof Brzechczyn (redaktor naczelny), Maciej Frankiewicz, Kornel Morawiecki, Zbigniew Rutkowski.

Adres redakcji: 61-655 Poznań, „Solidarność Walcząca”, ul. Gromadzka 23a.

Redakcja zastrzega sobie prawo skracania i zmiany tytułów w nadsyłanych materiałach. Tekstów nie zamówionych nie zwracamy. **Prenumerata roczna** (gwarantuje otrzymanie czterech kolejnych numerów) — 9 zł. **Prenumerata zagraniczna roczna** — 30\$. Przekazy pocztowe z dokładnym adresem prenumeratora i liczbą zamawianych egzemplarzy prosimy kierować pod adresem wydawcy: Wydawnictwo „WiS”, ul. Gromadzka 23a, 61-655 Poznań.